



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA.

Pożar Grodna był najważniejszym wypadkiem kroniki ostatnich dwóch tygodni. Nagle, jak grom, spadła wiadomość, iż stary gród nadmieński pali się; było to w jasny dzień przed południem, dnia 10 Czerwca; w stolarni na Kozim Rynku zatliły się wióry przypadkowo, a wiatr rozdmuchał to żarzewie i roznosił potem przez całą dobę po miejskich dachach, obracając w perzynę domy i budynki kilkunastu ulic.

Wicher, jak zbrodniarz szalony, jak podpalacz, szerzył zniszczenie i płomieniami walczył z siłą ludzką, która nie na wiele się wzmogła.

W *Kurjerze Codziennym* p. Wiktor Gomulicki, zwiedziwszy natychmiast po katastrofie spalone miasto, zdał sprawę ze swoich wrażeń i podał szczegóły zebrane na miejscu. Z nich okazuje się, iż straty ogółem dosięgły wysokości kilku milionów rubli srebrem. Ratunek był utrudniony; wody, jak się to najczęściej zdarza, zabrakło; nieszczęście chciało, że nadto jedna z rur wodociągowych pękła; ogrom pożaru nie dał się oparować niedostatecznymi środkami.

Kilka tysięcy ludzi, przeważnie ubogich, pozostało bez chleba i dachu. Płomień zrabował im i zniszczył wszystko. Część tylko domów i mienia była assekurowana, ale ta część przedstawia jakiś dziesiąty tylko ułamek summy z dymem i popiołem uleciałej.

Ze świątyni miejskich nie spaliła się żadna, chociaż mało do tego brakowało. Z większych i ważniejszych zabudowań spłonęły: zarząd akcyzy, kilka kancelaryi notaryuszów, biuro naczelnika wojennego, szkoła niemiecka i żydowska,

apteka, zakład fotograficzny, składy machin i narzędzi rolniczych, drukarnia, mnóstwo hotelów, w które Grodno obfitowało i t. p.

Siła żaru była tak potężna, pisze p. Gomulicki, iż wśród zgliszczów niepodobna znaleźć ani kawałka ocalałego drzewa, ani jednej belki, która by w części tylko uległa zwęgleniu.

Wszystko, co było drzewem, obróciło się w lotny popiół; wszystko, co było metalem, spłynęło w strumieniu lawy ognistej; wszystko, co było szkłem, stopniało na żużel bezkształtny.

Biurko moje zdobi w tej chwili pamiątkowy a fantastyczny *presse-papier*, powstały z takiego właśnie żużla, a noszący w przełomie ślady dziesięciu co najmniej szyb, w jedną całość stopionych.

Wśród pogorzalców, dotkniętych najbardziej klęską, znajduje się znana nasza powieściopisarka, zamieszkująca stale Grodno od wielu lat, Eliza Orzeszkowa. Nietylko dom jej pożar zniszczył, ale i bogaty księgozbiór, a co najważniejsza wiele notat, papierów i rękopismów zakończonych lub pozaczynanych. Materyalne i literackie straty są znaczne, samo współczucie i wyrazy pożałowania nie wynagrodzą ich i nie wyrównają....

Rozumie się, iż biedna ludność pozostała tylko na łasce miłosierdzia publicznego, żyć musi dotąd darowanym chlebem, mieścić się wśród gruzów i rumowisk w pożyczanych kątach, dopóki nie ochłonie z wrażeń okropnej klęski i nie znajdzie znów sposobności odbudowania spalonych domów.

Na pierwszy odgłos nieszczęścia Warszawa pośpieszyła z ratunkiem. Dzięki inicjatywie komitetu Wystawy Rolniczo-Przemysłowej przeznaczono na zasilek dla pogorzalców dochód z całego dnia, i zebrano około 10,000 rs. z biletów wejścia i ofiar wystawców.

Literaci nasi i dziennikarze powzięli też natychmiast zamiar wydania zbiorowem siłami okolicznościowej publikacji, pod tytułem: *Gore*, na wzór poprzednio ogłaszanych, a tak dobreimi rezultatami uwieńczonych.

Chcieć a mózdz, zamierzać a wykonać: to nie zawsze para.

Projekt powstał; czy wszelako da się urzeczywistnić tak szybko, jak „Ziarno“, lub „Na pomoc“?—nie wiemy jeszcze.

Pożar Grodna i okropne doświadczenie, jakie przejść musieli jego mieszkańcy, powinny być dla innych miast, zwłaszcza prowincjonalnych mniejszych, ostrzeżeniem i nauką zarazem, aby na złą chwilę starali się być przygotowanymi, nie lekceważyli sobie środków bezpieczeństwa, nie ufali zanadto dobremu losowi. Jedna chwila burzy niekiedy cały gmach nadziei i szczęścia ludzkiego, jedna iskra obraca w perzynę pracę lat długich i plon pilnej oszczędności.

Dzisiaj bardziej, niż kiedykolwiek, winniśmy unikać i wystrzegać się możliwych strat, bo każda pogarsza w dziesięćkroć nasz stan materyalny i ekonomiczny.

Rok bieżący, pomimo tego, że się zapowiadał niby-to pomyślniej od innych, nie zadowoli zapewne wielu. Ostatnie rezultaty jarmarku wełnianego, niżenie cen, brak gotówki i zbytu na targu naszym zawiodły dostawców. Wystawa przemysłowo-rolnicza również nie spełniła nadziei naszych w tym stopniu, w jakim spodziewano się osiągnąć korzyści. Udział prowincyi i obcych gości, zwiększenie ruchu w Warszawie, wpływ kapitału, okazały się mniejszemi, niż przypuszczano.

Ogólny zastój dał się znowu uczuć i stwierdził jednakową anemią: naszych przemysłowców i ekonomicznych tętnic.

Mimo wszystko, widok wystawy sprawia dodatnie i ujmujące wrażenie. Dział rolniczy słabiej

się przedstawił od działu przemysłowego, z którym ani pod względem świetności urządzenia, ilości okazów, doboru i rozmiarów równać się nawet nie może. Da się to wytłómaczyć warunkami, wśród których rolnictwo nasze i przemysł się rozwija, wreszcie czynnikami odmiennej natury, które ułatwiały nierównomiernie popis produkcji rolnej i przemysłowej, lub rękodzielniczej.

Zogniskowanie wielkiego przemysłu w samej Warszawie lub w jej pobliżu musiało korzystniej przyczynić się do ilościowego i jakościowego uświetnienia tego działu, w którym warsztaty i fabryki stanęły do popisu.

Nie umiemy pojąć tych głosów nagany i niezadowolonia, które wystawie tegorocznej robią zarzuty złego urządzenia, wadliwego spożytkowania miejsca, lub braku pewnej porównawczej skali. Ależ to wszystko, co jest, zrobiło się własnymi siłami, środkami bardzo ograniczonymi, z małą pomocą. Za przykład nie można wskazywać zagranicą; ona w innych warunkach tego rodzaju wystawy podejmuje i przeprowadza, rozporządza innymi funduszami, ma wreszcie więcej od nas doświadczenia i ułatwiających środków.

U nas i tak zrobiono więcej, niż się spodziewać wolno było; pojedyncze firmy wystąpiły pokaźnie, strojno, nawet zbyt kownie. Dały nam poznać, oile przemysł nasz w swoich usiłowaniach samodzielnych postąpił, ile skorzystał na konkurencji z zagranicą, jakie nowe wytworzył sobie gałęzie, jakie zarodki nabył i czem się zasilil, a do czego dążyć ma prawo i obowiązek.

Nawet najbardziej uprzedzeni przyznać muszą, że pod względem technicznej roboty, pod względem smaku, pod względem samodzielności wyrabiającej się w każdym niemal kierunku, przemysł nasz fabryczny i rękodzielniczy poszedł naprzód. Przecież to tak niedawne jeszcze czasy, gdyśmy sprowadzać musieli z zagranicy, a dzisiaj możemy się już poszczycić machinami, w których ani jedna śrubka nie jest obcym wyrobem—produktami miejscowego materiału, miejscowych sił i kapitału.

Polski robotnik i polski rzemieślnik pomimo braku warunków, środków i wpływów przychylniejszych kształci się powoli, wydoskonala w swoim zawodzie, nabiera inteligencji i fachowej zręczności. Dość zajeżdż do pawilonu drobnego przemysłu, zwiedzić owe mniejsze pawilony przemysłowców, przejść pomiędzy gablotkami w pawilonie głównym, spojrzeć nieuprzedzonym okiem na to wszystko, co się zebrało, skupiło, ułożyło na wystawie—aby uznać pracę, postęp, ciągłe usiłowania ku lepszemu.

Przemysł zagraniczny ma swoją tradycją, ma świetne wzory, znakomite fundusze, ciągłą opiekę i zachętę, zapewnione drogi zbytu i przewagę potężnych środków: bardzo to wiele, jeżeli z nim nasza produkcja równać się ośmiela.

Jeżeli tylko nie spadamy, ale powoli podnosimy się, jeżeli się rozwijamy w naszych warunkach, jeżeli mamy się czem popisać w porównaniu z tem, cośmy mieli przed laty dziesięciu, to już rezultat znaczny i pomyślny. A pod tym względem wystawa tegoroczna daje korzystne wyobrażenie i gdyby nie była natrafila na chwilę ogólnego finansowego zastoju, gdyby korzystniejsze znalazła w kraju całym warunki, niezaprzeczenie jeszcze w świetniejszym przedstawiłaby się była świetle.

I to, na cośmy się zdobyli, daje pociechę, pozwala z otuchą podnieść czoło i z większą wiarą spojrzeć w przyszłość, zwłaszcza gdy się zachmurzone niebo na naszym ekonomicznym widnokręgu przetrze trochę i rozpozgodzi.

Rozdanie nagród i wyroki jury, jak zawsze i wszędzie natrafily na protesty, nie zadowolily wszystkich. Tak być musiało; zawiedziona nadzieje wytwarzają gorycz i narzekania, ale trudno wszystkim dogodzić i wszystkich zadowolic.

Przyznano wszakże wielką ilość złotych, srebrnych i brązowych medali, mnóstwo listów

pochwalnych, a wśród wyróżnionych najwyższą nagrodą znajduje się i Dr. Ochorowicz, wynalazca słynnego termomikrofonu, który mu tyle uznania i rozgłosu pozyskał we Francji ostatnimi czasy.

W istocie wynalazek jego jest zadziwiającym postępem w budowie i działaniu telefonów; nie tylko przenosi on głos na znaczne przestrzenie, ale i rozprawdza go jak za pośrednictwem tuby akustycznej po całej sali.

Rozmowa, śpiew, dźwięki instrumentu, a nawet całej orkiestry, słycać wyraźnie powtórzone jednocześnie z całą wiernością, z zachowaniem barwy i natężenia głosu. Kamera obok pawilonu p. Abakanowicza na wystawie połączona jest drutami z prywatnym mieszkaniem przy rogu Wilczej i Marszałkowskiej, w którym odbywają się owe improwizowane koncerty, słuchane przez zdumioną publiczność na Placu Ujazdowskim. Apparatu nie potrzeba przykładać do ucha, jak to się działo dotychczas w telefonach Bella i innej konstrukcji, nie potrzeba zbliżać się, aby głos mógł być słyszany i przeniesiony po drucie elektrycznym.

Lat kilka temu jeszcze zaliczano by do bajek przypuszczenie, że ktoś śpiewu Mierzwinińskiego słycać może na drugim końcu miasta, nie uzyskawszy biletu na koncert jego lub na przedstawienie opery.

A dzisiaj, gdyby chciał ryzykować fundusze który z naszych zamożniejszych melomanów, mógłby mieć tę przyjemność w swoim własnym gabinecie, nie tłóczyć się do zapełnionej sali i nie omdlewać w tropikalnej atmosferze wielkiego teatru.

Kogo nie stać na termomikrofon Ochorowicza, ten przecież przepłaca bilety, aby mógł usłyszeć przynajmniej jedną aryę w „Trubadurze“, lub „Hugonotach“, śpiewaną przez króla europejskich tenorów. Mierzwinski, którego czytelniczki i czytelnicy *Bluszczy* znają dawno ze sławy a poznali kilka tygodni temu z portretu zamieszczonego na czele naszego pisma, jest obecnie bohaterem dnia w Warszawie; po ostatnich tryumfach zagranicą zjechał na odpoczynek do rodzinnego miasta, a jednocześnie dla dotrzymania obietnicy wzięcia udziału w jubileuszowym koncercie dyr. Adama Münchheimera.

Artysta nasz ma tę wielką wyższość nad wielu innymi znakomitościami polskimi, że nie zrywa sympatycznej nici ze swoim społeczeństwem i swoją publicznością, nie wyrzeka się oklasków w Warszawie, dlatego, że go obsypują niemi w Paryżu, Londynie, Berlinie i Wiedniu, czuje to, iż jest naszym rodakiem i przy każdej sposobności stara się stwierdzić tę łączność z ogółem, do którego duszą i sercem należy.

Każdy przyjazd Mierzwinińskiego do Warszawy zaznacza się świetnie nie tylko pod względem artystycznym, ale i obywatelskim. Ile razy występował na estradzie lub na scenie u nas, tyle razy jakiś cel publiczny skorzystał z tego. Obecnie również przeznaczył 1,500 rs. przypadających mu, jako wynagrodzenie za dwa występy w party Manrica i Raula w połowie na kasę zapomogi artystów dramatycznych, a w połowie na wpisy dla uczniów.

Hojny to dar, a ofiarowany z całą bezinteresownością w porywie dobrego serca, którym się wielki śpiewak europejski odznacza.

Dziwić się trudno, iż chcieliby korzystać z tego usposobienia artysty na wszystkie strony, ale zanadto wyzyskiwać znakomitego talentu i gotowości do poświęceń nie wypada i nie należy, jeżeli się nie chce odstąpić nawet tak przywiązanego do rodzinnego miasta, jak Mierzwinski, gościa od częstszych na przyszłość odwiedzin.

Świat muzyczny w ostatnich dniach miał wyjątkową sumę wrażeń, począwszy od koncertu p. Danysza, który na korzyść funduszu pomieszczenia pomnika Moniuszki w kościele Wszystkich Świętych, cudem jakimś prawie wykonał zbiorowymi siłami wspinał oratorium Haydna „Stworzenie świata“, aż do zapowiedzianego na nie-

działu jubileuszowego przedstawienia „Halki“ w Teatrze Wielkim.

Pan Danysz, *homo novus* na widnokręgu muzycznej Warszawy przybył przed niedawnym z Berlina i od razu dowiódł, iż posiada nie tylko fachowe wykształcenie, ale i potrzebną organizatorską energią, skoro podołał tak trudnemu zadaniu, jak wykonanie amatorskimi siłami jednego z największych dzieł muzyki.

Szkoda tylko, iż publiczność, niedowierzącą nowej nieznannej firmie, pomimo szlachetnego celu nie zebrała się dość licznie i trudy p. Danysza zaledwie osmdziesiąt kilka rubli czystego dochodu na rzecz pomnika przysporzyły.

W niedzielę po raz 300-tny wystawioną zostanie najpopularniejsza opera polska, najwznieczniejsze dzieło Moniuszki, na scenie Teatru Wielkiego. Dyrekcyja dla odznaczenia tego jubileuszu natchnienia zmarłego kompozytora i żyjącego jego dzieła, postanowiła „Halkę“ uświetnić nowymi dekoracyjami i kostyumami, część dochodu zaś przeznaczyła na korzyść pozostałej rodziny nieodżałowanego pieśniarza.

Wątpić nawet nie można, że teatr będzie od góry do dołu zapełniony, choćby widowisko wypadło w dzień najbardziej upalny.

Wogóle, z powodu zjazdu wystawowych gości dochody naszych trzech teatrów stały się znacznie poprawiły. Sztuka dramatyczna ma u nas najwięcej zwolenników, teatr przyciąga i w najgorszych chwilach ostatni prawie odczuwa zmiany materyjalnego i finansowego pogorszenia stosunków.

W roku bieżącym ogródkowe sceny spróbowały ze ślepą wiarą w powodzenie raz jeszcze szczęścia po ostatnim krachu: dopóki wszelako trwa ruch nadzwyczajny w mieście, próba ta zdaje się być jako tako pomyslną, ale z końcem wystawy, z wyjazdem przybyszów i tubylców, gdy się miasto wyludni—panowie dyrektorowie pożałować mogą eksperymentu swego.

Ogródki straciły u nas swą moc przyciągającą, urok ich minął, a nie wyrobiwszy sobie odrębnego repertoaru, nie wytworzywszy osobnej publiczności, nie mają też zapewnionej racyi bytu.

A jednak od poparcia Warszawy w lecie, zawisło ich istnienie na prowincyi w ciągu jesienno i zimowego sezonu. To wędrownie apostołstwo sztuki, ma swoje znaczenie i swój wpływ mieć-by mogło, gdyby nie musiało o chłodzie i głodzie tułać się najczęściej po partykularzu i dla chleba powszedniego poświęcać wiele ze swej godności i charakteru.

Maluczko, a Warszawa dorocznym zwyczajem opustoszeje; kto może, pomimo trudniejszych, niż w poprzednich latach warunków, śpieszy, aby chociaż zachłusnąć trochę świeżego powietrza, uniknąć nieznośnej na bruku miejskim, a zwłaszcza naszym, kanikuly, odświeżyć ciało i umysł do nowej pracy na jesień.

CZECZOTKA

Powieść z dawnych czasów

przez

Piotra Jaxę Bykowskiego.

(Dalszy ciąg).

Liczny fraucymer, gdzie najłatwiej mogła Zosia znaleźć rówieśniczki lat i usposobienia, za jej rychłe wyniesienie nad inne powitał ją od razu niechęcią wielką, zazdrością, nienawiścią nawet, a wszystkie te ujemne uczucia wzmogły się jeszcze względem niej jako szczęśliwej oblubienicy wielkiego pana; rosła jeszcze owa niechęć, kiedy towarzyszki kłóły sobie palce nad jej bogatą wyprawą, narzekając niustannie.

— Patrzcie-no, nie miało-to całej sukienki na sobie, kiedy tu przybyła, a teraz stroi się w atłasy, brokatele, aksamity—jakaś tam czeczotka! czemuż nie siedzi w swoim gniazdku?...

Nazajutrz po rozmowie z panią, rada nie rada, Zosia stawiała się na pokoje blada, drżąca, bezsilna, prędzej do pięknego trupa, niżeli do szczęśliwej oblubienicy podobna.

Kasztelan zaślepiony nie posiadał się z radości, tembardziej, iż zręczna wojewodzina potrafiła go przekonać, że główne powody choroby leżały w zapale sentymentów dla niego, a pochodziły z nadmiaru szczęścia, z oczekiwanego rychłego połączenia; szczęśliwy oblubieniec dodał coś jeszcze do przeszłych hojności, obsypując narzeczoną niespodziankami.

Biedna Zosia, oplątana siecią intryg i nienawiszcii dworu, na wszystko co ją otaczało spoglądała z bezmyślnością i apatyą, automatycznie obawiając się zajrzeć bliżej w tę przepaść otwartą na jej pochłonięcie; a oddawszy się Bogu, wyrobiła w sobie rezygnacyjną konieczną w jej smutnym położeniu.

Tak to jest na tym padole płaczu, iż oczekującym dnia szczęśliwego czas zółwim się wlecze krokiem, dzień zaś smutku i żaloby lotem błyskawicy przybywa. Nie opatrzyła się Zosia nieboga, gdy nadszedł ów dzień św. Anny—dzień rokrocznie uświęcany uroczystymi niespodziankami, któremu przed paru laty złożyła w ofierze miżerne swe dziedzictwo, dziś zaś sama szła na całopalenie zachcianek pańskich. Była to nieposłednia w swoim rodzaju niespodzianka, wydanie panny z fraucymeru za pierwszego senatora, a że wpływowego i na czele znacznej partii, akt więc był niemałej doniosłości politycznej.

Niema co powiadać o przygotowaniach do wielkiej spezy. Mówią, że wszystko dorównało przepychowi, z jakim się odbyło wesele starszej wojewodzianki, która przed dwoma laty wyszła była za Lubomirskiego, Wojewodzica Kijowskiego. Wszystko się więc po myśli państwa składało, nawet ucieczka Justka była na rękę, bo kto wie? w ostatniej chwili mógł coś zbruzdzić.

Na parę dni przed owym festynem, a terminem fatalnym dla Zosi, roilo się od podróży na wszystkich drogach, wiodących do Krystynopola, paradowały cugi pańskie, kałamaszki szlacheckie, a byli i jezdni i piesi, ci ostatni, chciwi, dążyli na okruchy z pańskiego stołu, któremi chudopachołkowie mogli się jeszcze pożywić.

Trudna kwestya do rozwiązania: czy więcej było ciekawych czy przychylnych? O tych ostatnich sąd należy do affektu, który się gnieździ w sercu, nawidziane więc orzec stanowczo niepodobna: ale to pewna, iż ciekawych nie brakło—ciekawi najpród byli festynów wojewody, które równych sobie nie miały, ciekawi byli krasy oblubienicy rozślawnionej szeroko, tudzież zadanego jej przymusu, o czem ludzie z cicha szepotali, ciekawi byli śmieszności starca, stojącego się prostodusznie narzędziem przymusu dla dziewczyny... a nareszcie gdzież to są granice ludzkiej ciekawości, która i obecnie tłumy ciekawych ku Krystynopolowi pędziła?

W sam dzień godów, w porze rannej, już przybliżonej ku południowi, przed austeryą o dobrą milę od Krystynopola, przepelnioną rozmaitym ludem pysznym i niepysznym, stał skromny skarbniczek podróży uprzążony trzema końmi, z których jeden mierzynek osiodłany lubo zziąjany, jednak trzymał się jeszcze z pewną fantazyą, lecz co do dwóch innych koni, to jeden wyciągnawszy się na ziemi już dyszał śmiertelnie, drugi zaś, opuściwszy uszy, robiąc silnie bokami zaledwie się trzymał na drżących nogach.

Przy tym zaprzęgu znajdowało się dwóch ludzi: jeden z nich starszy, lat dobrze średnich, ale krzepki i barczysty, przechodząc się szerz i wzduż, z niedowierzaniem i pewną ironią, spoglądał na młodszego, krzątającego się przy koniach, szczególnie przy stojącym na nogach: to go słomą wycierał, to poił wodą, to ścisnął nozdrze, żeby pożądane parsknięcie wywołać; na co

starszy ruszał tylko z niedowierzaniem ramionami, a w końcu ozwał się:

— Ostrzegalem, abyś nie spędzał tak koni, które nie podzielają gorącości sentymentów twoich, a teraz—masz!

— Natychmiast ja tu go odchucham, a bułanego zostawimy w austeryi, kasztanek z moim huculkiem dociągną nas.

— Pleciesz! kasztanek nam padnie, jak i tamten, o jakie sto kroków.

— O Boże, co począć! — łamał ręce z rozpaczą młodsi, a uderzając się w czoło, z tryumfem zawołał:

— Kupię konia u kogoś z przejezdnych, żeby przyprządz do huculka, i w porę staniemy. Mam jeszcze dość pieniędzy — odparł, uderzając się po trzosie, ukrytym pod kapotą.

A nie czekając potwierdzenia swego zamiaru przez starszego, natychmiast zainterpelował jakiegoś podróznego, zmierzającego za innymi biedką o jednym żwawym koniku.

— Hej, panie bracie!

— A czego tam?—odparł podróznym, zwalniając biegu.

— Przedajcie mi waszego konia; dobrze zapłacę.

— Zmyj głowę zimną wodą, pijanico ty jeden, a gdy się prześpisz pojedź w niedzielę do Buska na jarmark, tam sobie szkapę kupisz; bo ja końmi nie handluję—ofuknął zagadnięty, a zaciąwszy konia, ruszył dalej.

— Targ się waści nie powiódł—rzekł starszy, uśmiechnięty, ruszając ramionami

— Jeszcze nie stracona nadzieja; poproszę, żeby kto nas zabrał.

Stał uparcie przy swoim młody, a zamiar w czyn obracając, udał się do jednego drugiego z podróznym charłaków, bo pańskich cugów nie było, co w tej mierze zaczepiać; lecz również każdy się wymówił, to zmęczeniem koni, to, że znajomego ma zabrać po drodze, a któryś tam, stateczniejszy z zagadniętych, odpowiedział dobrodusznie:

— Wybaczcie, panie, podwiózłbym was, ale, obciążwszy zmęczone szkapy, nie stanę na czas w Krystynopolu, a tam paradny ślub ma się odbyć punkt o dwunastej w południe. Mówią, że to tam ma być przepych, jakiego świat i Korona Polska nie widziały. Owóż ciekawość, jak mówią, pierwszy stopień do piekła; dla niej-to człek jak fircyk jaki już dziś trzy mile upalantował i szkapy zmachał, zatem nie chciałbym chybić tej okazji. Radźcież więc sobie, panowie bracia, jak możecie, niech wam Bóg dopomaga.—Wio!—i zaciął szkapy ciekawy szlachcic.

Młodszy podróznym, niedostłuchawszy całej perory szlachcica, skoro mu w słuch wpadło, że „ślub ma się odbyć punkt o dwunastej”—rzucił się jak szalony ku koniom i z bolesną ujrzał, że kasztanek rozciągnięty przy bułanku wtórował mu w śmiertelnym chrapaniu i nadmiar zmartwienia starszy, ukazując mu konie, rzekł z wyrzutem:

— A co? nie ostrzegalem, żebyś nie pędził koni? teraz masz: ustały w samą porę.

— Ach! panie wuju, ja oszaleję. Co począć, co począć? Zmiłujcie się nade mną, nad nią, siadajcie na mego huculka, puście mu tylko cugle. On was krótszą tu drogą zanieśie do samego miejsca; wy tam najpotrzebniejsi: toż chodzi o życie, o przyszłość—wołał młodzieniec pochylony do nóg starszego, który, litośnie na niego spojrzawszy, rzekł z rezygnacją:

— Człek babrząc się w tych papierach, ze dwadzieścia lat na koniu nie siedział, ale nie ma co! Jeno, bacząc na solenność momentu, wartoby się ogarnąć, bo jakże się tam stawić w podróznym kapocie!

— Nic nie szkodzi. Kurz taki na drodze, że żal sukien, a słońce wysoko; nim się przebieżecie, wszystko się skończyć może. Przypaszcie szablę—i dość!

Tu młodzieniec, dobywszy szablę z wózka, opasał nią starego, który, chociaż trochę cięż-

ko, ale się wdrapał na osiodłanego konia, a odrazu zebrawszy cugle i ruszając z kopyta, ozwał się:

— Zostawaj z Bogiem, chłopcze, jakoś ja tam sobie poradzę przy lasce boskiej.

I skrył się podróznym w tumanach kurzu; młodsi za odjeżdżającym poglądał, jakby mu się dusza rwała, żeby za nim poskoczyć.

Owóż i po tajemnicy; pewni bowiem jesteśmy, iż czytelnik w dwóch owych podróznym przy ustałych koniach, odgadł dawnych znajomych: patrona Tomasza Setnickiego i porucznika Czeczotkę; z tym ostatnim dawnośmy się nie widzieli, bo przed samą chwilą dokonania dezercyi wojskowej, którą nam jeszcze usprawiedliwić należy.

Jeżeli sobie czytelnik przypomina, Justek odbywszy ową paradę przed Zosią, jako narzeczoną kasztelana, najpierw był trapiiony zazdrością, lecz następnie, ochłonawszy z tego pierwszego zapału, gdy wziął pod bliższą rozwagę wszystko, co dotąd z nim i jego towarzyszką młodości zaszło, bez trudności odgadł całą osnutą zręcznie intrygę wojewodziny, aby sobie swobodę działania względem swej panny kompani pozostawić.

Pojął dopiero Justek, czemu miał przypisywać zmianę swej pozycyi z rękodajnego samej pani na szarżę wojskową, której się wcale nie spodziewał, absolutne usunięcie go od pałacu, na które wcale nie zasłużył swoim postępowaniem i otoczenie Zosi szczególną czujnością—słowem: otworzyły mu się oczy na tę całą intrygę dworską, której znaczenia i doniosłości w prostocie ducha dotąd rozplątać nie umiał.

Widzieliśmy, jak się biedak miotał bezsilny, a dziwaczne mu projekta przez myśl przechodziły, nawet nieprawdopodobny napad wojskowy. Dopiero po głębszej rozwadze przyszedł mu na myśl wuj Tomasz, który od czasu ulokowania siostrzeńców na dworze wojewody, nie ukazał się tam ani razu.

Pan Tomasz, niegdyś główny pełnomocnik do spraw wojewody, opuścił to stanowisko, jak widzieliśmy, ażeby nie występować w sprawie przeciw krewnym swoim Czeczotkom; ktoś go tam z tuzinkowych jurystów zastąpił, on zaś zatrzymał nadal prowadzenie spraw ważniejszych przy trybunałach, lecz zastrzegając sobie, te tylko które się zgodzą z poglądem jego sumienia; przed takim prawnikiem, jakim swojego czasu był Setnicki, fantazyja pańska ustąpić musiała.

Nie dziw, że pan Tomasz dla attentowania spraw licznych wojewody, życie przepędzał na wózku. Dawniej często zaglądał do Krystynopola; od czasu zaś instalacyi młodych swych krewnych wcale się tam nie ukazywał. Kiedy więc Justek przed ową ucieczką rozważał wspólną swą pozycyją z Zosią, przyszło mu na myśl, że z czasów odbywania funkcji rękodajnego, kiedy mniej ważną i nietajemną korespondencyą w imieniu pani odbywał, ile razy wuj Tomasz zapowiadał swoje przybycie, pani zawsze starała się wynaleźć jakąś rzekomo ważną sprawę do załatwienia, byle patrona trzymać w oddaleniu od dworu.

Ztąd, krótko mówiąc, zrodziła się myśl owej ucieczki dla odszukania wuja Tomasza, jedyne na świecie, na którym opuszczone sieroty mogły polegać. Jak wiadomo, czas był krótki i zamiaru od wykonania nie można było oddzielać: zatem Justek, kiedy w pałacu obchodzono uroczyste zaręczyny jego najmilszej towarzyszki, on sam wdział drelichową kapotę, w której na dwór przyszedł, opasał się trzosem napelnionym dukatami, odziedziczonymi po ojcu, siadł na własnego konika, starą ojcowską szablę przypasał—i co było pańskie, wszystko zostawiając nietkniętem, puścił się na odszukanie wuja Tomasza.

„Szukaj wiatru w polu“, według przysłowia; a w rzeczy samej i to odszukanie byłoby może łatwiejsze, nad dopytanie się prawnika; wojewoda bowiem razem z małżonką, posiadał rozległe dobra niemal w każdym województwie.

(Dokończenie nastąpi.)

ŚMIERC I POGRZEB WIKTORA HUGO.

Paryż, d. 4 Czerwca 1885 r.

(Dokończenie).

Wystawienie katafalku pod tryumfalnymi wrotami „Gwiazdy“ ma więcej napuszenia w wyrażeniu, w słowie, niż w rzeczywistości. Nie ma w tem żadnego logicznego związku. *Tryumfalne wrota*, postawione aby uwiecznić pamięć zwycięstw Napoleona, i zmarły poeta—nie mają nic wspólnego, a ten którego ostatnią było wolą, aby go wieziono do grobu na skromnym wozie ubogich, odrzucił tamsam wszelką pompę ziemską, a dopiero ową, w której mu przyznano niezasłużoną rolę—jakby zbawcy ojczyzny!

Wrota tryumfalne Pól Elizejskich, jak wiecie, jest to gmach niebotyczny: owoż urządzony katafalk i wszelkie ozdoby wyglądały jakby jakie błyskotki, dziecinna przylepiona ręką, na grzbiecie ogromnego słonia.

Nakoniec wyrugowanie z Panteonu obrzędów kościelnych, odjęcie mu charakteru świątyni pod wezwaniem tak popularną tu cześć odbierającej św. Genowefy, patronki Paryża, aby w murach odświęconych złożyć śmiertelne szczątki poety—jest to jeden z tych pomysłów, które mi się pocieszają i bawią stare półgłówki, co-to, niewierząc w Boga—wierzą w mądrość i nieśmiertelność szarlatanów zabawiających tłum czczemi a często i szkodliwymi frazesami. Cała ta cześć grammatu żałobnego jest śmiesznym naśladowaniem starożytnego pogaństwa, niezrozumiałego dziś dla nas—i niewolniczym poddaniem się głupim wybrykom kilku zagorzałych ideologów i Jakobinów, którzy na swoje usprawiedliwienie nie mają nawet ani tego zuchwalstwa, ani tej dzikości, jaką się odznaczyli ich przodkowie 1793 roku. Przypomina to ów słynnej pamięci raport Davida malarza, przedstawiony Konwencji jako programat obchodu pogrzebowego na cześć Barra i Viala.

Dziwny ten programat pomiędzy innymi pomysłami wprowadzał do pogrzebowego orszaku śpiewaków i śpiewaczki, mniejsza jeszcze o to, z opery—ale także tancerzy i tancerki z baletu opery—w kostiumach!

„Od czasu do czasu — powiada — muzyka żałobna uderzy w bębny; śpiewacy wyrażą żal nasz płaczącymi tonami, i tancerze dadzą poznać tożsamość posępną pantomimę, a młode tancerki w żałobnych płasach przedstawią nasz najgłębszy smutek, rzucając na urny z popiołami bohaterów cyprysowe gałązki“.

Zapewne, chwalebnie to jest i zacie przypominać, jak zrobił Renan, ów wiersz Dantego, powiedzieć: *Onorate l'altissimo poeta*; chwalebniej i zacie jest uczcić i uszanować wielkich mężów w narodzie: ale zachować miarę, w tej czci i w tym szacunku—jest to podwoić tę cześć, bo wówczas głębokie i szczere uczucie, które, jak każda wielkość, jest proste i skromne, głębokim a niezmiernym swoim wyrazem daleko przechodzi miarę tego wszystkiego, cokolwiek ludzka fantazyja z umysłu na to zbudować może.

Owoż w całym tem urządzeniu pogrzebowego obrzędu poety, we wszystkim, co było napisane i wygłoszone *urbi et orbi*, był taki przechwyty, tak wielka przesada, że prawdziwe a poważne uczucie musiało uciepnieć na tem. Telegram, który *Figaro* paryzki sfabrykował, jakoby przysłany z Lizbony, jest najprawdziwszym wyrazem tego uczucia, jakiego musieli doznać wszyscy delikatni i czuli, wobec tej prawdziwej rozpusty pióra. Główne dzienniki tutejsze starały się wynosić pod niebiosą znaczenie i wielkość zmarłego poety. Pseudonimowy korespondent pyta się *Figara*: Czy Rząd Francuzki, dekretując apoteozę Wiktora Hugo, przyjmuje w swoim programacie *Starożytną ofiarę ludzką*.

„Jeżeli tak — powiada — to gotów jestem i

ja się poświęcić (odpowiedź zapłacona z góry)“.

Nie można z lepszą i dowcipniejszą ironią streścić w jednym słowie całej śmieszności i nie-stosowności, z jaką poczynano sobie w tem apoteozowaniu poety. Znając Francuzów i Paryżanów, jestem głęboko przekonany, że gdyby cały ten przepych fałszywej wystawy i rozpalenia imaginacji publicznej, zostawiono na uboczu, skromnie występujący z domu kondukt, na jednym ubogim wozie, jak chciał nieboszczyk, sprawiłby niesłychany efekt, bo wrażenie tej sprzeczności, prawdziwej wielkości i ostatecznego ubóstwa—byłoby tak niezmiernie, iżby mu niedorównały żadne bogactwa, żadne blaski ziemskie. Szkoda więc!—ale co kraj, to obyczaj. Oni nie rozumieją tu, jak to można coś zrobić prosto i bez fantazyji, chociaż, jeżeli to się zdarzy wypadkiem, czują to i cenią wysoko.

Tak więc to, co się stać mogło najszczytniejszym wyrazem uczucia powszechnego żalu, powszechnej żałoby i objawem czci patriotycznej, stało się widowiskiem publicznym, zabawą ciekawości i zbiegowiskiem, które tylko ogromem swej liczebności różniło się od zwykłych tu obchodów urzędowych manifestacyj, na tę lub ową pamiątkę. W Niedzielę rano, około 6-ej godziny, przewieziono trumnę w furgonie i bez żadnej ceremonii z domu na plac Wrót Tryumfalnych i złożono na urzędowym katafalku. O tej, choć rannej, godzinie tłum ciekawych był już ogromny, bo najciekawszy nocowali tu, koczując na Polach Elizejskich i na ogromnym placu, przed Wrotami Gwiazdy. Powiadano tu sobie w tłumie, że przywieziona trumna była próżną, bo ciało nienabalsamowane i uległo zepsuciu i rozkładowi z powodu gorąca, we Czwartek już musiano odwieźć wprost do Panteonu. Był to wymysł tylko, ale krążył wśród tłumu, jako najprawdziwsza prawda. Cały dzień niedzielny, pomimo upału wielkiego, plac i ulice sąsiednie przepełnione były cisnąciami się zewsząd tłumami ludu—bez najmniejszej oznaki, nietylko smutku, ale choćby poważnej przyzwoitości. Słowem: było to zbiegowisko targowe na olbrzymią skalę. Utworzony ordynek przez żołnierzy gwardyi municypalnej, od Pól Elizejskich do Wrót Tryumfalnych, dawał przejście tłoczącej się gawiedzi, do katafalku, gdzie miano oglądać zwłoki poety, leżące w odkrytej trumnie, ale gdzie rzeczywiscie oglądano jedynie zamkniętą trumnę, pokrytą kwiatami i wieńcami.

Na tej zabawie bez najmniejszego charakteru, powagi i żałoby upłynęła Niedziela, i znowu najwytrwalsi i najciekawszy spędzili tu noc na miejscu i wzdłuż całej drogi wskazanej dla pochodu Ci, którym za mozość dozwalała, wynajęli naprzód okna, balkony, ruszowania wszelkiego rodzaju—a nawet drzewa, drabiny, wozy i wózki—po obu stronach tryumfalnej drogi, którą w Poniedziałek zrana zajęło wojsko i policya. Deputacje rozmaitych i najdziwniejszych korporacji z chorągiewami i sztandarami, umieściły się wzdłuż ulic i wielkich bulwarów otaczających zewsząd ogromne koło Placu Wrót Tryumfalnych, który oczyszczony naprzód z tłumu, zajęło w części wojsko należące do orszaku pogrzebowego i kilkanaście tysięcy urzędowych i nieurzędowych figur, mających odrębne, z ministerjum wydane karty. Porządek więc pochodu był zapewniony, tem lepiej, że wskutek danych rozkazów, wzbromiono przystępu czerwonym chorągwiom anarchistów, które zresztą, na dane hasło z góry, zniknęły całkowicie z widnokręgu paryzkiego, pomimo pogroźek i pomimo zaburzeń, o których musieliście słyszeć, na cmentarzu Père Lachaise.

Przed południem po 21 wystrzałach armatnich u Inwalidów, przy katafalku rozpoczęły się urzędowe mowy pogrzebowe, w następnym porządku: p. Le Royer prezes senatu, p. Floquet marszałek izby poselskiej, p. Goblet minister oświecenia, Emil Augier z Akademii Francuzkiej, p. Lefevre, vice-prezes rady departamentowej i Michelen, prezes rady miasta Paryża. Z tych mów, krótkich zresztą, jedna tylko zasługuje na uwagę: mowa ministra oświecenia, o której wspomniałem wyżej.

Po skończonych mowach mistrz ceremonii ze służbą wyniósł trumnę spod katafalku i złożył ją na owym-to wozie ubogich (Corbillard des pau-

vres). Dwie ogromne gałęzie laurowe i dwa małe wieńce z róż białych były całą ozdobą skromnego całunu. Czemuż nie poprzestano na tem!... Ale oto już wyruszają w drogę.

Pochód otwiera szwadron gwardyi municypalnej. Za nim postępuje muzyka i pułk piechoty i sześć wspaniałych wozów pogrzebowych, okrytych wieńcami i bukietami kwiatów. Teraz przychodzi kolej na skromny wóz z trumną, zaprzężony we dwa konie i otoczony kilku przyjaciółmi zmarłego. Za wozem postępuje młodzieniec lat 16-tu. Jest to Jerzy Hugo, wnuk ukochanego poety; potem dalsza rodzina a za nią deputacje, ze sztandarami i z wieńcami, z których było kilka, tak olbrzymiej wielkości, że potrzeba było kilku ludzi do ich dźwigania. Publiczność stojąca po obu stronach ordyneku rzęsiłami okłaskami witała każdy z większych wieńców. Ażeby zdać sobie sprawę, jaką była liczba tych deputacji, dość jest powiedzieć, że kiedy kondukt stanął już na miejscu przed Panteonem, ostatnia z deputacji była jeszcze na Placu Zgody.

Na ulicy Soufflot, która poprzedza Panteon i Plac przed tą świątynią, tłum był tak wielki po obu stronach, że prawdziwie nie było gdzie szpilka tknąć. Okna sąsiednich domów, zapchane ludźmi, wynajmowały się za niesłychaną cenę; w domu narożnym tego placu wynajęcie okien pierwszego piętra przyniosło szczęśliwemu lokatorowi 6,000 fr.—coś więcej, niż dwuletnią cenę komornego! Powiadają, i łatwo można uwierzyć temu, że zakupienie kwiatów i wieńców kosztowało przeszło milion franków!

O wpół do drugiej czoło konduktu wstępuje na Plac Panteonu, a o 2-ej wózek ubogich zatrzymuje się przed sztachetami świątyni. Po zdjęciu trumny i ustawieniu jej na katafalku urządzonym pod kolumnadą przedsiönka i w miarę jak się konwój przesuwają, deputacje składają swe wieńce, najpierw u stóp katafalku, a następnie na wschodach i sztachetach świątyni. O godzinie trzeciej nowi oratorowie zabierają głos. Wójt miasta Besançon pierwszy przemawia, widać, że przemawia, ale go nikt nie słyszy, bo trąby i kotły, grzmiały wokoło placu, i trzebaby tręb Ostatecznego Sądu, aby głos tego mera ludzkie ucho dosłyszeć mogło. Mówi potem, sławny ze swej gwałtowności, Madier de Montjau, koryfeusz skrajnej lewicy; Henryk de Bornier, Ludwik Ulbach, w imieniu stowarzyszenia międzynarodowego literacko-artystycznego, którego honorowym prezesem był nieboszczyk; Clarétie, Jourde i reszta i reszta, a tymczasem, pochód deputacji, przeciąga bez przerwy; każda na swoją rękę, siłą się przesadzi w pisku i dźwięku i tworzą taki chaos, że Bóg jeden tylko mógł chyba rozróżnić, kto tu i na jaką gra nutę. Tymczasem bije na zegarze cztery, pięć, sześć! O szóstej nakoniec ostatnia deputacja i ostatni oddział kawaleryi przybywają na Plac Panteonu.

Trumnę nieboszczyka, wyjętą raz jeszcze z katafalku, znoszą do podziemińnego pieczar, w asystencji rodziny i kilku przyjaciół, gdzie ją składają obok grobowca architekta Soufflot'a, naprzeciw J. J. Rousseau'a. I na tem koniec!

Nie dziś jeszcze stosowna rzecz sądzić poeetę i pisarza. Przyjdzie czas, przyjdzie potomność, i zapisze ostatnie swe słowo. Dziś, tylko widać, że człowiek znakomity, że osobistość potężna zstąpiła do grobu, a opróżnione przez nią miejsce we Francyi nadługo zostanie niezajętym.

Jako poeta był Hugo ostatnim wyrazem tego, co stanowi potęgę słowa i prawdziwie narodowego ducha i pojęcia poezyi. Nie zawsze i nie wszędzie łatwo go zrozumieć można, a szczególnie tłumaczenie przedstawia nieraz niepokonane trudności. U nas, gdzie poezya ma inne wcale znaczenie i pod wpływem tak całkiem odmiennych natchnień, popularnym on być nie może i nie jest. W Wiktorze Hugo zamyka się jakby ostatnie potężne ogniwo, jakby ostatni poeta starożytnej poezyi, która więcej w formie, w sile języka i słowa leżała, niżeli w tem uczuciu i porywie zachwyty, gdzie my jej szukamy zwykle.

W ostatnich dziesięciu, czy piętnastu latach był on więcej uosobnieniem pewnych socyalnych, niżeli poetycznych dążeń, a choć zbyt często może potwierdzał swem słowem potężnym pewne

zbożenia, w które sam w gruncie nie wierzył; przecież zostanie zawsze uosobnieniem, jak mówił sprawiedliwie minister oświecenia, tej szlachetnej i wielkiej myśli postępu Ludzkości na drodze piękna i dobra!

Ja, naoczny świadek tej ceremonii, pomimowoli duszą i sercem zwróciłem się ku rodzinnej ziemi. Przypomniałem sobie świeżą jeszcze, ledwie zamkniętą, mogiłę dostojnika Lubelskiego Kościoła, jego tak skromny pogrzeb, brak wszelkiej reklamy, jego śmierć tak wielką w swym skromnym wyrazie, i to tak potężne wrażenie całego ludu, płaczącego wokoło. Nie było tam oklasków: były łez potoki i coś mi w sercu mówiło, że tam w tym biednym Lublinie, umierał większy nad wszelką ziemską wielkość—człowiek, mąż, kapłan i ojciec, a tu zgasł—tylko poeta!

PRACA KOBIECA NA WYSTAWIE.

(Dalszy ciąg.)

Kwiaciarstwo nasze zasługuje na szczególną uwagę, nie tylko ze względu, że, zaspakajając najzupełniej potrzeby miejscowe nawet w wymaganiach najwybredniejszego gustu, zamyka drogę dowozowi obcego towaru, ale że pracując na wywóz przyczynia się w części jakiejś do wzmożenia dochodów kraju, i dawać może zajęcie znacznej już liczbie kobiet, pracy potrzebujących. Przecież na wystawie widzimy okazy czterech tylko pracowni: Lotha, Olędzkiej Maryi, Siwińskiej Wandy, Szymkiewiczowej Antoniny, i to kwiaty p. Olędzkiej są poza konkursem, gdyż jako biegła należała ona do grona sędziów, którzy orzekali o wartości okazów kwiaciarskich. Ale brak w ilości został tu wynagrodzony jakością, bo kwiaty tak p. Siwińskiej, jak p. Szymkiewiczowej są przesliczne, i nawet nie za szkłem mogą złudzić oko, że są świeże, tylko co zerwane z krzaka, na którym się rozwiły. Sąd konkursowy przyznał obydwom wystawczynom duże medale srebrne, stawiając ich okazy na stopie zupełnej równości: „ex aequo.“ Sądowi biegłych asystował prof. Alexandrowicz, jako botanik, jakkolwiek kwiaciarstwo, postępując za śladem sztuki nie ogranicza się do samej wierności w naśladowaniu natury i musi posiadać coś artystycznego poczucia piękna, koniecznie potrzebnego przy grupowaniu i mniej lub więcej wdzięcznym nagięciu gałązek. Są przytem pewne techniczne trudności, których większe, lub mniejsze pokonanie musi być uwzględnione przez sąd biegłych. Wyrób kwiatów drobnych jest o wiele łatwiejszym od wyrobu kwiatów dużych; są również pewne kwiaty, których kolorowanie jest bardzo trudnym i do tej liczby należą bratki; to też dobre nałożone farbami tego kwiatu, i wyrób róż, zwłaszcza dużych, stanowi o doskonałości kunsztu kwiaciarskiego. P. Siwińska otrzymała medal szczególnie za różę i bratki, które są tak piękne, jak tylko kwiaty sztuczne pięknymi być mogą.

P. Siwińska uczyła się kwiaciarstwa w Paryżu, gdzie od 1871 r., aż do chwili powrotu do kraju, to jest do roku bieżącego, miała własną fabrykę kwiatów. Już-to wogóle kwiaciarstwo nasze z lat ostatnich wyrabiało się na wzorach i metodzie francuskiej, którą nam przywiozły i zaszczepiły p.p. Szymkiewiczowa i Olędzka. Obie udały się z tą myślą do Paryża, gdzie każda z nich przeżyła naukę kosztowną i dość długą, aby wydać mogła wszystkie sposoby i tajemnice francuskiego kwiaciarstwa, a kształcać następnie w pracowniach swoich robotnice, rozbudziły ruch w tym kierunku pracy kobiecej, którą można powiedzieć ugruntowały na dobrych podstawach. Inicytywa należy się p. Szymkiewiczowej, bo to ona pierwsza była tą odważną pionierką, która się puściła w świat na zdobycie wdzięcznego swego kunsztu. Obecnie pracownia p. Szymkiewiczowej zatrudnia stale 10 robotnic, pracujących na miejscu, prócz tych, które wykonywają powie-

rzoną im robotę u siebie. Fabryka jej istnieje od 1870 r., przy ulicy Niecałej; od 1878 zaczęła ona wyrabiać i liście, które w doskonalszych gatunkach były dotąd sprowadzane. P. Siwińska wyrabia również i liście—przesliczne! Pracownia jej świeżo otwarta, mieści się na Krakowskim-Przedmieściu N. 65.

Drugim przemysłem kobiecym, zajmującym uwagę publiczną z tego również względu, że może wyprzeć kosztowny towar dowozowy i dać pracę licznym a potrzebującym jej ręką, jest koronkarstwo. Kwiaciarstwo, choć nie na takim, jak obecnie, stopniu rozwoju, istniało przecież oddawna; koronkarstwo jest u nas zupełnie nową gałęzią pracy. Pierwszy ruch rozpoczął się w Galicyi. Na Wystawie Pracy Kobiecej, urządzonej 1879 r., przez Warszawskie Muzeum Rolniczo-Przemysłowe, ukazały się pierwsze u nas robione koronki kilku pań i próby koronek klockowych nadesłanych z Galicyi, ze szkoły p. Honoraty Łukaszewiczowej z Horkówki, i zaraz też publiczność warszawską uderzyła myśl wielkiej użyteczności szkoły podobnej, szczerpiącej między kobietami wiejskimi przemysł korzystny a domowy. Zainteresowano się szkołą horkowską; sprawiło to pewne zadowolenie, że zająca jej założycielka jest rodem Warszawianką: gdy wkrótce dała o sobie znać druga szkoła koronkarstwa w Galicyi, założona przez hr. Potocką z Rymanowa. W Królestwie pierwsza szkoła koronkarska, tak, jak tamte, bezpłatna, i z dobroczynną, obywatelską myślą, założona została w 1880 przez p. Helenę Gabryelową w Warszawie.

Wyuczywszy się sama koronek klockowych w Czechach, a następnie gatunków wytworniejszych w Belgii, p. Gabryelowa otworzyła szkołę zrazu w pomieszkaniu własnym, ucząc osoby przychodzące z miasta, oraz dziewczynki z ochrony VI i z Zakładów Towarzystwa Dobroczynności. Te dzieci ubogie uczyły się w dodatku na warsztatach i przyborach szkoły. Dziś szkoła mająca na wystawie swój pawilonik własny, przedstawia oprócz okazów pracy uczennic takie sprawozdanie działalności swojej:—Przez niecałe pięć lat istnienia miała 2,000 uczennic. Oprócz rozmaitych osób, młodszych i starszych, uczyły się w niej i uczą dziewczynki z 7 ochron Warszawskich, z Zakładów Towarzystwa Dobroczynności, z 4-ch elementarnych szkółek rządowych i z 9-ciu prywatnych pensyi panien. Uczyła się także przysłana przez zakonnice z Kielc dziewczynka, która z kolei uczy tamże na pensyi p. Ziemińskiej i ma obecnie uczennic 15. Na trzech warszawskich pensjach pobierają bezpłatnie nauki trzy panienki za udzielanie nauki koronek współtowarzyszkom swoim. Jedna z nich przeszła w roku zeszłym do klasy wyższej z pierwszą nagrodą, druga z listem pochwalnym. Mają one zapewnione sobie nauki we wszystkich klassach do ostatniej, zawsze tylko za naukę koronczarstwa.

Przez uczennice szkoły lub za ich pośrednictwem otworzyło się ośm zakładów nauki koronkarstwa: w Grajewie, w Lublinie, w Wilnie, w Skałce pod Krakowem, w Mińskim szkoła wiejska, w Częstochowie, w Suwałkach; nakoniec w powiecie Opatowskim we wsi Gromadzicach szkoła p. Maryi Rudominowej, która występuje również na wystawie w oddziale przemysłu włóściańskiego.

Dwie uczennice szkoły p. Gabryelowej wyjechały dla nauczania koronek: jedna do Baku druga do Tyflisu.

Obecnie zażądano jednej nauczycielki na Podole do Horyszkówki, dóbr p. Regulskiej na korzystnych warunkach dwumiesięcznego tam pobytu.

Dziewczynki z ochrony, wyuczone w szkole, poczynając od 11 lat wieku, zarabiały i zarabiają od 10 do 30 rs. miesięcznie. Uczennice dorosłych; korzystających z nauki szkoły od początku bieżącego roku szkolnego było 50. W domach prywatnych wyczono za pośrednictwem uczennic osób 15. Dzieci ubogich uczy się obecnie na warsztacikach i przyborach szkoły 35. Szkoła posiada na użytek takich niezamożnych uczennic 50 warsztacików, czyli poduszek i 6,000 klocków.

A wszystko to stało się cicho, skromnie, stop-

niowo, za pomocą szlachetnej dobrej woli i poświęcenia osobistego, bez najmniejszej reklamy, nawet bez żadnych ogłoszeń, prócz tego, że adres szkoły mógł być otrzymany w redakcyi naszego pisma. Z początku mniej liczne uczennice przyjmowała p. Gabryelowa w pomieszkaniu swoim; obecnie szkoła ma pomieszczenie własne: wymurowany w dziedzińcu, a raczej w ogrodzie domu, który zamieszkuje założycielka szkoły, domek, a w nim długi, jasny, z wyborną wentylacją pokój, przytem tuż obok niego ustawione są dla uczennic na czas miesięcy letnich ławki i stoły pod cieniem drzew wysokich.

Na wystawie są przedstawione okazy koronek klockowych, wykonanych przez uczennice; desenie, warsztaciki i przybory do robienia koronek, sofka kryta starą gobeliną, ozdobiona koronką zastosowana stylem i kolorem do gobeliny, koronki w stylu staroświeckim. Między temi zwraca uwagę kawałek koronki „point de Venise“ wykonanej przez jedną z najdawniejszych uczennic szkoły, p. Julią Suchocką. Szkoła ta otrzymała duży medal srebrny. Przyznano go jej, sądząc w okazach ich wartość przemysłową, sądząc je jako towar, lecz gdyby był mógł odbywać się sąd szkoły, jako takiej—szkoły, która w prowincyi naszej dała początek tak znacznemu ruchowi w gałęzi pracy kobiecej, ztąd już bardzo cennej, że nie wydalając pracującej z domu, z rodziny, daje jej zarobek, i to poczynając od najmłodszego wieku, szkoła otrzymałaby niezawodnie medal złoty. Szkołę sądzi się przez całość jej działalności, przez wpływ jaki wywarła, przez zasługę jej należną, że stanęła odważnie i samodzielnie do dobroczynnego nauczania swego. Oprócz bardzo znacznego przywozu koronek z Cesarstwa, oprócz tego, co wyjeżdżające za granicę panie, tam na użytek swój kupowały, cło pobrane od wprowadzanych koronek wynosiło w roku 1881 13,666 rs., — w 1881 r., 19,599 rs. — w r. 1883 18,264 rs. Więc przemysł koronkarski ma dla ubogiego naszego kraju ważną racją bytu, bo gdy się postawi obok opłaty celnej wartość towaru, gdy się do tego dołączy to, co bez cła wchodzi, z corocznego wydatku na koronki zagraniczne wytworzy summę znaczną, o którą co rok ubożjemy.

Ponieważ koronkarstwo może być pracą, która wymaga dochód rodziny, nie wydalając z niej pracującej, w szkole p. Gabryelowej uczyły się kobiety wszystkich stanów, kobiety z klas inteligentnych, jak żony urzędników, adwokatów, lekarzy. Ciekawym szczegółem jest, że pierwszą w Berlinie szkołę koronkarską założyła uczennica Szkoły Warszawskiej, p. R. S.

Szkoła mieści się na Krakowskim Przedmieściu N. 40, pomieszkania N. 3. Czas zapisu na naukę (bezpłatną najzupełniej) jest od godziny 12-ej do 1-ej. Zakład przyjmuje obstatunki i zbywa wyroby uczennic swoich.

Niemniejszą zasługę obywatelską mają dwie również bezpłatne szkoły koronkarstwa, rozszerzające wśród ludu wiejskiego i mało-miasteczkowego przemysł pożyteczny. 1) Szkoła p. Maryi S. w Skalbmierzu, w Krakowskim, uczącą koronek i haftu, która przedstawiła ładne okazy koronek klockowych nicianych i jedwabnych, oraz hafty ludowe w stylu prowincyi południowo-wschodnich. Zakład istnieje od lat dwóch, nauka odbywa się w miesiącach zimowych, i miewa przecięciowo po 25 uczennic, dzieci młodych od lat 6 do 13. Produkcya roczna nie została określona, ponieważ wykonywa się w miarę zamówień dworów okolicznych. 2) Druga szkoła p. Maryi Rudominowej we wsi Gromadzice w Sandomierskiem (powiat Opatowski), wyrabia niciane koronki klockowe, uczy także dzieci młode; ale widzimy, że najmłodsza z uczennic ma lat ośm, a starsze dochodzą już do lat 16, zapewne więc szkoła nie kładzie tu żadnego ograniczenia, co jest rzeczą bardzo pożyteczną, bo i dorosła dziewczyna może nauki zapragnąć, może się w niej najdoskonalej wykształcić, a wiek od lat siedmiu jest najpraktyczniej wybranym, nawet ze względu na pedagogicznych. Szkoła p. Rudominowej liczy obecnie uczennic 9, wszystko dziewcząt wiejskich: córek włóściańskich, służby dworskiej i rzemieślników wiejskich. Dwie z nich,

Józię Jurkowską i Andzię Zielińską, widzieć było można przy robocie: miłe, inteligentne dziewczątka zręcznie przerzucające klocki swoje. Szkoła Gromadzka istnieje od roku 1882, robota trwa głównie w miesiącach zimowych, gdy inne prace w ogrodach i w polu nie wzywają do siebie. W lecie usteje prawie zupełnie, przecież szkoła wyrobiła już i to bardzo poprznie przeszło 800 łokci koronek nicianych i jedwabnych które rozkupują dwory okoliczne. Nici jedwab' sprowadza szkoła z Warszawy; poduszki, które stanowią warsztat dla koronek klockowych, szyje na miejscu żona dworskiego, Joanna Budziszyna; klocki wyrabia miejscowy chłopiec wiejski, Antek Kasprzyk, po 2 zł. za tuzin, co jest bardzo ważnym do szkoły dodatkiem, nietylko z tego względu, że konieczne dla nauki przybory znajdują się pod ręką. Ułatwia to zarazem i w stopniu wysokim pożądane rozszerzenie się koronkarskiego przemysłu w okolicy, skoro włóścianki ze wsi dalszych, mogące się wyuczyć wyrobu koronek za pośrednictwem wyuczonych w szkole dziewcząt, będą mogły znajdować w pobliżu przybory do pracy swojej potrzebne.

Skoro się pomyśli: ile dobrego można robić, ile zasługi obywatelskiej można sobie zeskarbić, gdy się ma do tego chęć poczciwą i myśl dobrem ogólnem zajęta, gdy się nie pędzi leniwego istnienia z dnia na dzień — smutno wyznać, że tak rzadko, tak wyjątkowo spotyka się wśród biednego społeczeństwa naszego czyny takiej dobroczynności i ludzkości chrześcijańskiej, czyny takiego uczciwego patriotyzmu, zawsze i wszędzie możliwej działalności poświęconej! Z tem większą też czią, z tem większym szacunkiem ceni się tę poczciwą pracę, która wkoło siebie sieje ziarna dobrobytu i dźwigania się cywilizacyjnego. Jakkolwiek obecnie w szkole p. Rudominowej uczy koronek p. Cybulska, nauczycielka, niemniej córki tej zacnej pani same zajmowały się tu poprzednio nauczycielskiemi koronczarstwami od wyuczonej w szkole p. Gabryelowej osoby. Zasługa powinna część swoją uznania, część swoją szacunku ludzkiego dostać i należy jej się zawsze wdzięczne słowo od społeczeństwa, dla którego dobra ofiara trudu i czasu swego poświęconą została. Na wystawie znajdują się również okazy szkoły hr. Potockiej z Rymonowa, wystawione, w celu porównania, przez hr. Różę Krasieńską.

(Dokończenie nastąpi).

LISTY J. I. KRASZEWSKIEGO Z MAGDEBURGA.

XIII.

Znalazszy na stole swoim wiele nowych romansów francuzkich, sięgnęliśmy po dwa pomiędzy nich, które samemi nazwiskami autorów na okładkach zapowiadały coś wyższego nad popularność. Oba te romanse mają za przedmiot życie paryzkie; tylko co wydostały się spod pras drukarskich. Jednego z nich autorem jest nieprzejędany Rochefort—romans ten nosi tytuł wielce charakterystyczny: *Cinquante pour cent*; drugi wyszedł spod pióra Ernesta Daudeta, brata autora romansu *Nouma Roumestan*, i ochrzczony został *Les reins cassés*.

Może to tylko przypadek, ale oba romanse, pomijając szczegóły, koloryt, opracowanie, zbudowane są na tym samym temacie i podobne do siebie—jak dwaj bracia. Zawsze to tasama stara piosnka: pieniądz i życie na wielką skalę—jako sprężyna; bankier, spekulant, tłum chciwców pragnących się czempredziej wzbogacić, ażeby czempredziej pić z czary życia—jako aktorowie; politycy bez zasad, dziennikarze gotowi bronić wszelkiej sprawy i dyabła i anioła; kobiety bez serca i bez jednej szlachetnej iskry w duszy: oto wszystko. Zapominamy jeszcze o artyście, który przypochlebia się tłumowi, aby jaknajprędzej

zrobić sobie imię—a wraz z imieniem i nieodstępne pieniądze. Nigdy pieniądz zdobywany łatwo nie był tak ubóstwianym, nigdy nie stawiano go tak wysoko i ponad wszystko, co dotychczas najwyższem było.

Gdybyśmy społeczność dzisiejszą sądzić mieli według tych produkcji, które powinnyby ją przecie odtwarzać, musielibyśmy sobie postawić pytanie:—Czy rzeczywiście Francya tak nisko już upadła, czy obyczaje w niej tak się już rozluźniły; czy niema w niej już ani zapału ani wiary, ani zasad, ani religii ani prawa—nic, nic, prócz tego wyuzdanego polowania na złoto, które, dziś zdobywszy, jutro wyrzuca się pełnemi garściami za okno?! Pytanie takie staje mimowoli przed każdym czytelnikiem, który w książkach szuka symptomatów życia, dowodów świadczących o charakterze epoki.

Nie sądzimy, aby Francya mogła już upaść tak nisko. Nie! poza Paryżem, na prowincyi, po wsiach kryje się jeszcze świat inny i lepszy; ale panowie romansopisarze nie zadają sobie pracy, aby go poznać, i wołają uciekać się do środków już zużytych i pomysłów oklepanych. Wszystko, co piż, tłoczy się do Paryża, nie widzi nic prócz Paryża i nie chce nic innego malować, tylko Paryż, który, prawdę mówiąc, jest metropolą kosmopolityczną, a bynajmniej nie stolicą Francyi. Opieram się tu na świadectwach samych literatów paryzkich, którzy niadawno co utrzymywali, iż takzwane „tout Paris“ bynajmniej nie zrodziło się nad brzegami Sekwany.

Arystokracja i plutokracja posiadająca najpiękniejsze hotele, najkosztowniejsze konie, stoły najwykwintniejsze, składa się z Amerykanów, Anglików, Turków, Rossyan, Meksykanów i Indów, ze wszystkiego co chcecie, ale żywił francuzki jest tu w mniejszosci. Tę-to pstrocinę dziwadną, powleczoną francuzkim werniksem, połyskującą od niego, bierze się za „tout Paris“ i znajduje w utworach powieściopisarzy współczesnych. Weale nie francuzki duch, weale nie narodowy charakter ożywia tę zgrają przewalającą się po złoconych rynsztokach Paryża: są to jakieś pokurcze, jakieś hybrydy i należałoby dla nich odrębną jakąś nazwę wymyślić.

Obyczaje pantujące w tej społeczności są jej własnymi obyczajami; nie czując nad sobą żadnej kontroli moralnej, gotowa zawsze rozkiełzać się, ilekroć poczuje, że jej przeszkadzają w wybrkach—używa ona i nadużywa gościnności, za którą też hojnie płaci. Tłumom tym Paryż na wiele rzeczy pozwala, ponieważ ma się z nich dobrze, i Paryż żyje z cudzoziemców, jak hotele szwajcarskie żyją z podróżnych.

Powieść Rocheforta *Pięćdziesiąt za sto* jest utworem poronionym; sam on pewno nie przywiązuje do niej wielkiej wagi. Jest to historia człowieka naiwnego, prostaka, bez inteligencji, którego chwytają w swe szpony rozmaici *faiseurs*, dopóki go nie wystrychną na słomianego człowieka. Stawiają go wreszcie na czele jakiegoś niedorzecznego przedsiębiorstwa i biedak musi potem cierpieć za wszystkich. Cała zgraja tych panów: i deputowany, i minister, i wielki bankier—jest może prawdziwą, ale wzbudza odrazę przez swój lodowaty cynizm. Wszystkiego potrosze znaleźć można w tej powieści, nie braknie i damy kameliowej, ale i sama ta dama i jej kamelia są podlejszego gatunku. Bohaterka, biedna młoda dziewczyna, prosta i nie wiedząca, jej matka, kobieta gminna, śmieszna, ale obudzająca współczucie: wszystko to pada—i zostają tylko owi ichmościowie, którzy umieli zręcznie wczas jeszcze wycofać się z gry. Rochefort obchodzi się z działaczami swej powieści, jak człowiek, zarówno od miłości, jak i od nienawiści, wolny: jest dla nich zupełnie obojętnym. Powieść nie ma żadnej tezy; może tylko autor chciał dowiedzieć, iż radykalni i socjaliści, gdyby im pozwolono Francją urządzić, wytworzyliby świat lepszy od dzisiejszego z pomocą Ludwika Michel *et consortes*.

Powieść Ernesta Daudeta jest zręcznie zbudowana, aktorowie dobrani z rozmysłem; więcej tu wiary a mniej surowizny, wpływającej jeszcze posoką. Za to kubek w kubek to samo—co do treści; tylko wszystko przeniesione w wyższe kregi

społeczne, gdzie i powietrze czystsze i pieniądze jeszcze obfitszy. Ofiara, słomiany człowiek, nie ma naiwności biednego wekslarza u Rocheforta, ale odgrywa taką samą rolę. Trochę mniej prostactwa, mniej właściwości wzbudzających odrazę, niż w innych bohaterkach *ejusdem farinae*, widać w jego pani małżonce, która zapragnęła przeflancować się do Paryża, na to tylko, aby odbierać hołdy należne jej piękności. Umie ona przynajmniej kochać. Szaleje, ale się nie podli, i dla niej można przebaczyć całą powieść. Również i dziennikarz, który zaczynał już być istotą godną pogardy, podnosi się potem i szlachetnieje.

I tu również koniec takisam, jak u Rocheforta: słomiany człowiek staje się ofiarą owych *faiseurs*, którzy z pieniędzmi uciekają za granicę; ratują tylko kaszę, nie dbając o honor.

Po takich-to grzęzawiskach brnie teraz romans francuzki. Pomiedzy realizmem Zoli i skandalem wypadków wyrzanych z życia, gdzie osoby często kopiowane są z żywych wzorów, niewiele co znaleźć można; kroczy się torem Ponson du Terail'a—powieść kryminalna, sądowa kwitnie.

Chcąc się trochę pocieszyć, potrzeba obrócić się w inną stronę i spojrzeć na co innego. Podróże, pamiętniki, poszukiwania i opracowania historyczne są i dość liczne i dość zajmujące. W tej liczbie czytanie zdrowe i nauczające, daje *Bibliothèque variée* (1 tom z rycinami kosztuje 1 fr. 50 cent.), która zawiera przejażdżki po różnych krajach, po większej części opowiadane z talentem. Dwa ostatnie tomy, któreśmy przejrżeli, obejmują Danią i Szwecyą z Norwegią, przez p. Maxyma Petit. Można powziąć wyobrażenie o tem, jak kraje te wyglądają, i mieć książkę do czytania za tanie pieniądze. W poprzednich tomach mieszczą się: *Chez les Yankees* par A. Clerc; *En Australie* par Lemère; *A travers l'Algérie, en Tunisie et au Maroc* par Dr. Reuss.

Wydawcy wogóle silą się na edycje popularne, tanie; jednocześnie wszakże są i inni, którzy wydają rzeczy małej wartości, ale nasycające apetyt bibliofilów—na papierze japońskim, hollenderskim, z wielkimi brzegami, z rycinami *avant la lettre* i t. d.

Ta mania wydań będących naśladowaniem edycji dawniejszych, podrabianiem XVI i XVIII w. coraz się bardziej rozpowszechnia. Za egzemplarze osobliwsze, odróżniające się czemkolwiek od reszty nakładu, płacą się summy bajeczne. Są książki zaledwie z 1823 r., które idą w handlu po 200 i 300 fr. za tom, jeżeli czynią zadość pewnym szczególnym warunkom. Moda gospodaruje tak dobrze w bibliotekach, jak wszędzie indziej. Dziś przepłacają XVIII w., jutro przyjdzie kolej na XVII. Jest wiele pięknych rzeczy, które można mieć za nic; gdy tymczasem paskudztwa, będące rzadkością, sprzedają się na wagę złota. Zbytek w artystycznych oprawach jest również nadzwyczajnym. Amatorowie płacą z jedną oprawę sławnego mistrza, tysiące franków i jeszcze lata całe czekają na to, aby ją dostać. Książka tak oprawiona nie jest już bynajmniej przeznaczoną do czytania: jest to klejnocik, który się pokazuje, pieści.—którym się szczyli.

Wobec tego nie powinniśmy się dziwić że w Anglii świeżo za najpierwszą książkę tam drukowaną, zapłacono coś około 1.500 f. st. Najpierwsza książka!—jest za co płacić. Ale jeden tom Voltaire'a z pewnemi winiętami, oceniony na tysiące franków—to trochę za grubo.

W chwili, kiedy piszemy te słowa, Paryż zdjął już żalobę, jaką był przywdział. Trumna z sosnowego drzewa, zazwyczaj ostatnie schronienie biedaka, teraz zamknęła zwłoki wielkiego poety i wraz z niemi legła w pieczarze Panteonu. Wyrządzono jednak obelgę Wiktorowi Hugo: do imienia jego przywiązano sekularyzacją Domu Bożego, tego prawdziwie nieszczęsnego Panteonu, który nie umiał nigdy zachować popiołów mu powierzonych.

We Francyi, gdzie wszystko robi się z wielkim hałasem, z wyszukaną wystawnością, pogrzeb wielkiego poety zepsuto przez ten teatralny charakter, jaki mu nadano. Prawda, że odpowiada to dość dobrze temu sposobowi, w jaki sam poeta

lubli ukazywać się przed światem; ale — grób i boleść poprzestają na prostocie i nie pną się do świetności. Bogu dzięki jeszcze, jeżeli — jak donoszą — żadna manifestacja tłumów z czerwonymi chorągwiemi nie zbezcześciła smutnego a uroczystego obchodu. W chwili, kiedy Francya tak pod niebiosa wynosi talent poety — rzecz wielce charakterystyczna i godna uwagi — tutaj cześć dla Goethego słabnie i już dziś zaczynają się z niego natrzęsać. Daje się to wytłómaczyć: Francya, osłabiona i upokorzona, chce się podnieść w uznaniu świata przez geniusz; Niemcy, wielkie i silne, chcą pokazać, że i bez swego poety i jego chwały umiałyby być potężnymi. Tam wskrzeszają każdą zagrzebaną wielkość; tutaj dają do poznania, że mają dość wielkości własnej, dzisiejszej. Wszystko robi się bez żadnego rozmysłu, bez zamiaru, przez prosty tylko instykt, i powinno być wciągnięte na rejestra pamięci jako jeden z symptomatów dziejowych.

Łatwo jest teraz przewidzieć, że wspaniały pomnik stanie na tym placu Eylau, który nosi już nazwę „Wiktora Hugo“, albo też w jakimkolwiek innym punkcie Paryża. Niepodobna byłoby bez niego się obyć. Nie ma pomnika ani Chateaubriand ani Lamartine, ale sami winni są temu, że umierali w chwilach złowrogiej obojętności. Pierwszy z nich powiatał Wiktora Hugo przydomkiem *enfant sublime*; drugi, który go poprzedził i zdawał się być przeznaczonym na to, aby zostać przynajmniej jego równym, zmęczony niewdzięczną Francją swoim nieustannym ubóstwem a uporczywą pracą. Jeden tylko Wiktor Hugo umiał kierować łodzią swego życia przez tak długie lata, nie tracąc nic ze swej aureoli i rosnąc ciągle, rosnąc coraz bardziej. Miał on wyjątkowe szczęście. Nawet w Niemczech, gdzie entuzjazm jest owiele mniejszy, wysławiają go jako geniusz, który nad wiekiem panował.

Wiktor Hugo i jego przyjaciele mieli zawsze nadzieję, że imię jego zespoli się z nazwą XIX wieku — i i nazywali go już z góry „Wiekami Wiktora Hugo“. Zaprawdę, można bez przesady powiedzieć, że pomimo wszystkich swoich człowieczych słabości, był on właśnie tym duchem mocarzem, który wywarł największy wpływ na literaturę.

Wraz z nim skończyła się cała jedna epoka literatury. Umarł bez dziedzica. On, Lamartine, Dumas, Balzac, Gautier, żal tylko po sobie zostawili. Ci, którzy wstąpili na ich miejsce, przy całej zręczności swojej — wydają się bardzo małymi w porównaniu z nimi. „Dumas fils“ nie wart jest swego ojca, małeńki parnasik Katulla Mendesa'a nie zmierzy się z wyżynami poetycznymi Teofila Gautier; Zola nie zatrze nigdy Balzaca. Literatura ma doskonałych robotników, ale ich nie ożywia najmniejsze technienie, jedna choćby iskierka boża.

I publiczności również, tej publiczności składającej się z czytelników zapalonych, z wielbicieli, którzy się tak bardzo przyczynili do wyrobienia poetów — daremnie szukalibyśmy dzisiaj. Publiczność dzisiejsza bawi się skandalem, czyta chciwie to, co ją łechce, ale szczerze nie zajmuje się niczem. Mówiliśmy niedawno na tem miejscu o romansie Zoli, mającym tę zasługę, że daje nam obraz straszliwy, ale nowy. Zola babrał się w błocie i wnętrznościach ziemi; to, co wybrał żyje i skacze do oczu. Inni powieściopisarze mniej szczęśliwi, poruszają się w tak ciasnych granicach, powtarzając zawsze jedno i to samo w kółko, posługując się przytem tak zużytemi już maryonerkami, że nawet najbardziej zgłodniały czytelnik woła: „Nie chcę już, nie chcę!“

Warunki życia we wszechświecie.

(Dalszy ciąg).

Utrzymywać, że nie istnieją planety około innych słońc, dlatego tylko, że ich nie widzimy, jest to samo, co wznosić nanowo gmach, o którym mniemaliśmy, już że został zburzony tem zaprze-

zieniem. P. Faye chciał zapewne powiedzieć, że planety te mogą zresztą istnieć, lecz nie o nich nie wiemy. W tym razie jest to tylko czcze zbijanie tego, co orzekli Kepler, Kant, Lambert, Laplace, i t. d., których opinia opiera się słusznie na wyglądzie naszego systematu słonecznego, i prawdopodobieństwie, że i inne słońca mogły wytworzyć to, co wytworzyło nasze słońce. Prawdopodobieństwo to zatem należało zniweczyć. Otóż, pomimo niemożliwości materyjalnej, w jakiej pozostajemy, chcąc *widzieć* planety należące do innych systematów, ostatnie wszelako postępy astronomii potwierdzają domysły Keplera i jego stronników, jak potwierdziły dotyczące planet położonych między Marsem a Jowiszem. Trudno też będzie pojąć, że autor dzieła o *pochodzeniu świata*, któremu znane są wszystkie wskazówki kosmogonii, nie pomyślał, iż planety przed zagasaniem błyszczą i że możemy na niebie widzieć tylko planety jeszcze błyszczące. Gdyby wszakże o tem pomyślał, ujrzałby całe swe rusztowanie dowodzeń padające odrazu, co byłoby dlań chwilą wielce nieprzyjemną. W istocie, dość było szanownemu prezesowi biura długości geograficznej wziąć do ręki teleskop i zwrócić go na Syryusza. Dostrzegłby wtedy planetę jeszcze świetlaną obracającą się około swego skrzyżnego się słońca w okresie 49½ lat. Gdy ta planeta nie będzie już błyszcząc nawet własnym swem światłem (może już błyszczy w części światłem odbitem), czyż nie stanie się światem podobnym Jowiszowi, Saturnowi, lub Ziemi?

Czyżby p. Faye utrzymywał, że wystygnięcie nie nastąpi prędzej w tym satelicie Syryusza, niż w jego kolosie słonecznym? Z pewnością nie. Zgoda, można więc toż samo spostrzeżenie zastosować, pomimo różnic zachodzących w mimosrozdzie, do wszelakich systematów gwiazd podwójnych, wśród których jedna z ich orszaku jest daleko mniejszą od gwiazdy głównej. Co do ciał niebieskich już ciemnych, jak Ziemia, nie widzimy ich zgoła, — nie więcej.

Wszelako pomiędzy orzeczeniem *nie widzimy ich a nie istnieją one* — przedział ogromny, przepaść. Słabość naszego organu wzrokowego nie upoważnia nas bynajmniej do odrzucenia prawdopodobieństwa ich istnienia. Wnosimy więc z tego pierwszego punktu, że p. Faye nie chciał wprost orzec, iż niema innych systematów planet zamieszkalnych, jak tylko nasz wyłączny, gdyż opinia taka byłaby w zbyt rażącej sprzeczności z wykładem astronomii. Chciał on tylko powiedzieć, że faktycznie nie widzimy ani tych planet ani ich mieszkańców, o czem już wiedzieliśmy i co przyjmujemy bez żadnego zastrzeżenia. Wszelako prawdopodobieństwa istnienia systematów słonecznych różnych od naszego nie zmniejszył ani na jotę ten fakt, że ich nie widzimy.

III.

Prawdopodobieństwo to pozostaje tak wielkiem, tak blizkiem pewności, że sam nawet p. Faye wyraża się w następnych słowach, które dla ciekawości zestawiamy z jego poprzednimi orzeczeniami:

„Życie może się tylko przejawiać na ciele już wystygłym, oziębionem, stowarzyszonem z innym ciałem gorącym, mniej lub więcej sąsiedniem, które mu dostarcza w ilości umiarkowanej koniecznego ciepła. *Słońca odgrywają właśnie tę rolę w stosunku do swych planet.* Dotąd, dopóki błyszczą, dopóki posiadają powłokę fotosferyczną, której funkcyę opisaliśmy w roku ostatnim, pozostają cudownie zorganizowane do rozpraszania dookoła siebie stałego światła i ciepła, podczas długiego cyklu wieków. Olbrzymia ich masa, jej płynność, sformowanie się i utrzymywanie fotosfery trwałej, są warunkami często urzeczywistniającymi się we wszechświecie.“

Jak widzimy, uczony astronom sam się podjął dać nam do zrozumienia, że jego wyżej przytoczone zdanie: „Co do planet, które *podobato się* wiązać z temi milionami słońc, nie widzimy ich, i nie ujrzymy ich nigdy“, nie wypowiedziało całkiem tego, co chciało wypowiedzieć, gdyż sam autor, należąc do tych, którym *podobato się* przypuszczać istnienie planet około innych słońc, cu-

downie zorganizowanych do utrzymania życia na ich powierzchni, nie może już być źle usposobionym względem umysłów poziomych, którym podobalo się również przypuszczać to istnienie. W gruncie więc uczony jest z nami jednego zdania. Czytelnicy nasi nie mieliby zatem żadnej słuszności, mniemając, że p. Faye zadał śmiertelny cios doktrynie tak mi drogiej. Wprost przeciwny rezultat okazuje się po zbadaniu rzeczy. Według p. Faye'a słońca nieskończoności również oświetlają planety nieznane. Według niego światło i ciepło z tych odległych ognisk, również rozlewają potoki życia w miejsca odpowiednie do ich przyjęcia. W przeciwnym razie potrzeba byłoby przypuścić, że p. Faye posiada tylko *wyobraźnię* w orzeczeniach dosłownych, jakie przytoczyliśmy; sądzymy jednak, że posiada on niemniej nieco *nauki*. Nie rozumiemy przeto całkiem, co chciał wypowiedzieć w słowach na wstępie powołanych, odpierających doktrynę wielości światów. Odpieranie zarzutów z naszej strony jest zbytecznem, gdyż sam autor je zbija.

IV.

Tak więc w zasadzie (gdyż niema innego środka) p. Faye pozwala naturze tworzyć planety około słońc w przestrzeni i nie sprzeciwia się temu, że życie na nich może się przejawiać. Wszelako, posługując się bezzwłocznie drogą wyrzutni, usiłuje wyłączyć wszystkie systemata całkiem nie identyczne z naszym; więc najpierw odrzuca *wszystkie gwiazdy podwójne i złożone*.

Otóż rozpatrzymy się na chwilę w tem wyłączeniu, co do gwiazd podwójnych. Utrzymywać, że planeta krążąca około słońca, a należąca do systematu gwiazd podwójnych jest niemożliwą do zrodzenia życia, odpowiada temu orzeczeniu, że cała ludność ziemi zniknęłaby jutro, gdyby Neptun świecił własnym światłem.

Cóż powiedzieć na to? Powiedzieć lepiej jeszcze, że w tym razie życie samo roślinne, zwierzęce, ludzkie, nie byłoby poczętem na ziemi, gdyby Neptun świecił własnym światłem. Otóż z wielkim żalem zniewoloni jesteśmy otwarciem wyznać, że gdyby Neptun świecił własnym światłem, życie byłoby najzupełniej takiemsamem, jakie istnieje na ziemi, Ludzkość nie wyszłaby na tem gorzej. Biuro Długości Geograficznej odbywałoby swe posiedzenia, jak je dziś odbywa, a jedyną różnicę stanowiłoby jedna więcej liczba w kolumnach cyfr, już samych przez się tak wymownych w *Poznawaniu Czasu*.

W rzeczy samej, przypuścimy, że Neptun-słońce posiada, nie blask minimalny (w dobrej sprawie nie chcemy tryumfować bez chwały); lecz wartość cieplikową i świetlaną względnie biorąc dość poważną. Przypuścimy, że będzie to słońce, którego średnica dochodzi czwartej części średnicy słonecznej i którego masa dorównywa również czwartej części całkowitej masy naszego słońca. Różnice są niekiedy daleko większe w pewnych systematach gwiazd podwójnych.

Zgoda, w tym nawet razie słońce neptunowe byłoby równem czwartej części naszego z odległości 1, — czwartej części w średnicy, co dawałoby na powierzchnię $\frac{1}{16}$, — przy krążeniu z odległości 30, tarcza tego słońca wyrównywałaby $\frac{1}{120}$, w średnicy tarczy słonecznej $\frac{1}{14 \cdot 400}$ na powierzchnię odbieralibyśmy więc (nadając wartość świetlaną i cieplikową wewnątrznie równą takiejże wartości słońca), 14.000 do 15.000 razy mniejszą ilość światła i ciepła, niż odbierana od słońca. Słońce neptunowe byłoby zatem dla nas drugim księżycem, mniejszym lecz świetniejszym od naszego, a ten nowy satelita corocznie przez kilka miesięcy płonąłby wśród konstelacji zodykalnych. Ludności ziemskiej nie zmniejszyłaby się bezwątpienia w tym razie w sposób dający się uczuć. I kto wie? Być może byłby to element przychylny jej wzrostowi. Dobrze! odpowie nam szanowny krytyk, lecz masa tego słońca jest dla nas kłopotliwą. Niepodobna na nią się zgodzić.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DROBNE LISTKI.

— **Czyn szlachetny** został w tych dniach spełnionym w Łodzi. Zapalił się tam wśród nocy budynek, zwany Bazarem Kaliskiego. przy silnych poszlakach umyślnego podpalenia bo ogień wybuchnął jednocześnie w kilku miejscach, ogarniając odrazu dom cały. Ginęło w ten sposób mienie wielu rodzin ubogich, rozpacziała przecież szczególnie jedna niemłoda robotnica, błagając strażaków, aby uratowali jej jedyny sposób do życia: żelazną maglownicę, pozostałą w izdebce, którą już ogarniały płomienie. Czterech strażaków rzuca się bohatercko w ogień, aby wynieść ten warsztat pracy biednej kobiety, ale belki przepalone zaczynają się walić nad nimi, trzech uchodzi szczęśliwie, lecz czwarty, przywalony belką, zostaje, a po nad nim i pod nim srożą się płomienie! Towarzysze przecież opuścić go nie chcą, wracają, a za nimi rzuca się pomoc w znacznej liczbie, sikawki zalewają płonąca już izbę i nieszczęśliwy, Roth z nazwiska, został wyniesionym z płomieni, choć ze złamaną nogą i poparzony. Lękają się o niego, aby nie dostał zapalenia płuc. Bazar—lichy zlepek, zbudowany może z myślą nikczemnej spekulacji, jak przypuszczają ogólnie, gorzał dwa dni, wśród mściwego urągania ludzi. Co się stało z maglownicą? *Gazeta Łódzka* nie donosi.

— **Portret pastelami Maryi Leszczyńskiej**, pędzla malarza francuzkiego Perroneau, został w tych czasach sprzedany w Paryżu za 5,500 fr. Nasi panowie, którzy tam siedzą, powinni byli, choćby tylko przez dumę, nie puścić go w cudze ręce.

— **Ludwik Léger**, zajmujący w Sorbonie Paryżkiej katedrę literatur słowiańskich, mówił z wielkiem uznaniem, z wielkiem uwielbieniem o Janie Kochanowskim i jego jubileuszu krakowskim: „Un jubilé littéraire en Pologne“, oraz o wydaniu warszawskim dzieł poety, które widocznie zna i podnosi je bardzo wysoko. *Treny*, uważa za najpiękniejszy w literaturze „poemat boleści“, z którym równać można tylko ojcowskie żale Wiktora Hugo. Słowa takie w ustach Francuza, zwłaszcza dziś, pod wrażeniem apoteozy zmarłego poety, znaczą bardzo wiele. Léger przytacza dalej kilka, bardzo szczęśliwie dobranych aforyzmów Kochanowskiego, o których mówi, że ludzkość znać je powinna, i dodaje, że „nosi je w sercu i pamięci“ społeczność nasza, w której to cenić i szanować należy, że umie czić wielkości swoje. Rzecz cała trzymana jest w tonie gorącym i sympatycznym dla nas. Zdaje się, że Léger zamierza opracować całą naszą Epokę Zygmuntofską.

— **W Paryżu** zmarła Marya Cabel, śpiewaczka francuzka, dla której Meyerbeer napisał niedyspartą Dinory w operze: „Le pardon de Ploërmel“.

— **Pierwszy medal**: „Médaille d'honneur“ w dziale malarstwa, na tegorocznej wystawie paryżkiej, otrzymał Bouguereau za obraz treści religijnej: „Adoracja Trzech Króli“. W dziale rzeźby nie przyznano takiego medalu nikomu, bo nikt nie pozyskał potrzebnej liczby 42 głosów. Najwięcej, 31, miał rzeźbiarz Mercier za posąg młodzieńca, który wśród rozmarzenia sennego przechodzi w śmierć. Posąg nosi tytuł: „Le souvenir“.

— **Poeta angielski**, Swinburne, pisze studium, obejmujące cały zakres twórczości Wiktora Hu-

go. Będzie to kolejno idący rozbiór wszystkich utworów francuzkiego poety. Swinburne ma z nim pewne pokrewieństwo talentu.

— **Stara historia** z młodych lat Wiktora Hugo, została teraz zbudzona przez dzienniki. Hugo sprzedał swój dwutomowy romans „Notre Dame de Paris“, księgarzowi Renduel, za bardzo skromną cenę, przyczem zobowiązał się oddać mu na tychsamyh warunkach dwa tomy pierwszej książki prozą, którąby napisał. Gdy za ukazaniem się dzieła, podniosły się zewsząd głosy ogromnych pochwał, a Renduel, drukując wydanie za wydaniem, osiągnął nadspodziewane korzyści, Hugo żądał zmiany w umowie co do następnego dzieła, lecz twardy człowiek nie chciał przystać na nic i Hugo, rozgniewany, postanowił nie pisać prozą. Trwało tak lat trzydzieści, lecz myśl, pracująca w głowie poety, nie dała się wiecznie więzić, Hugo napisał: „Les Misérables“, ale nie dotrzymał kontraktu, nie oddał dzieła Renduelowi, a zapozwany do sądu, zapłacił tytułem kary 8,000 franków, lecz księgarnia Lacroix Verboekhoven ofiarowała mu za powieść 350,000 franków. Następnie otrzymał od tejsamej firmy: 150,000 fr. za „Travailleurs de la Mer“; 40,000 fr. za tom jeden: „Chansons de Rues et Bois“; 200,000 fr. za „L'Homme qui rit“.

— **Goethe'go dzieła** wydane w Stutgardzie przez księgarnią Cotta, przyniosły mu od 1795—1832 r., to jest do jego śmierci, 233,696 florenów. Spadkobiercy po rok 1865 otrzymali 243,227 flor.

Sara Bernhard spotkała się z zakazem rządu niemieckiego, przekroczenia granic tego państwa, w charakterze aktorki, to jest nie wolno jej występować na żadnej scenie niemieckiej, a szczególnie w Alzacyi i Lotaryngii, jako osobie wyrażającej jawnie nienawiść swą do Niemców. Miało to powstać z przyczyny, że Sara, zeszłego lata zelżyła głośno na ulicy Strasburga officera niemieckiego, który chciał jej ofiarować bukiet. Miało to miejsce w dzień, przed przedśmionkiem teatru.

— **Idź pan precz!** — zawołała gniewnie, odpychając ręką kwiaty. — Jesteś Niemiec a ja Francuzka!... Publiczność zaczęła klaskać, przekupka kwiatów, mająca w pobliżu stragan, wysypała jej do powozu pod nogi cały kosz róż, lecz nazajutrz rano Sara otrzymała rozkaz natychmiastowego wyjazdu. Obecnie dziennik urzędowy ogłosił rozkaz nieprzepuszczania jej przez granicę.

— **Henryka Beecher Stove**, sławna autorka „Chaty wuja Toma“, jest bardzo słaba i siły jej nikną codziennie więcej. Skończyła lat 73 i zapas życia się wyczerpał.

— **Posąg Darwina**, wykonany z białego marmuru i ustawiony w wielkim przedśmionku londyńskiego Muzeum Historii Naturalnej, został odsłonięty w d. 9 Czerwca r. b. w obec licznie zebranej publiczności. Professor Huxley, który był prezydentem komitetu pomnikowego, oddał go pod straż zarządu *British Musacum*, przelewając na niego swoje dotychczasową władzę pilnowania posągu na rzecz narodu angielskiego. Książę Walii, który stoi na czele tej korporacji, przyjął w jej imieniu ten obowiązek, lecz zażądał zaraz od grona, któremu przewodniczy, aby jemu osobiście zostało powierzonym czuwanie nad posągiem.

Na kolonie letnie dla biednych słabowitych dzieci Dr Fritsche'mu nadesłali:

Dr Florkiewicz rs. 5, Julian Wieniawski rs. 5, Dr Sommer rs. 10; Ludwik i Paulina Górscy

rs. 50, Bar. St. Lesser rs. 15, Dr Z. Kramsztyk rs. 5, E. z Lubińskich Brzezińska rs. 10, Dr Konitz rs. 15, Al. Temler rs. 50, K. Szlenkier rs. 50, St. Kr. Brun rs. 25, H. Kucharzewska rs. 10, Tytus Michałowski z Kijowa rs. 150; Hr. J. Branicka rs. 25, Al. Goldstand rs. 100, M. z Hauków Kosińska rs. 10, H. Wawelberg rs. 300, St. Natanson rs. 10, Samuel Dickstein rs. 20, Dr Bolesław Gepner rs. 20, A. Jurgielewicz rs. 5, Ber. Kohen rs. 20, Józef Bloch rs. 20, Leon Gnoiński rs. 10, Wawelberg rs. 100. Ks. biskup Ruszkiewicz rs. 5, Wilhelm Landau rs. 25, Sz. Landau rs. 10, St. Wołowski rs. 15, Lesser Levy rs. 50, Henryk Levy rs. 25, Adolf Landau rs. 5, Ludw. Grossman rs. 10, Dr J. Baranowski rs. 50, SS-wie Jakóba Natansona rs. 50, A. Gajewski rs. 5, W. T. rs. 10, Bernard Hantke rs. 25, Redakcja „Prawdy“ rs. 16, Redak. „Tygod. Ilustrowanego“ rs. 3 kop. 50, Leopold Méyet rs. 5, Apollinary Portner rs. 5, Baronowa Józefa Z. rs. 25, J. Korzonowa rs. 5, Dr Biberstein rs. 5, L. Korngold rs. 10, H. Reichman rs. 20, Wł. Muttermilch rs. 5; Paulina Bauman rs. 30, Jan Bershon rs. 25, Mathias Bersohn rs. 25, R. L. rs. 1, Wiktor Wertheim r. 2, Jaś i Zosia Wortman rs. 50, Taubenhau rs. 3, Rittendorf rs. 10, Bergsohn rs. 5, Michał Kozarski rs. 15, Grabowska rs. 3, z pensyi J. S. rs. 60, Kazimierz Hordliczko kopiejek 10, Al. Brockman rs. 20, Pani Z. rs. 5, Alexandra Blochówna rs. 50.

Również na kolonie letnie złożyli na ręce pani doktorowej Alexandry Braunowej: F. R. rs. 10, E. R. rs. 2 kop. 50, A. B. rs. 5, M. K. rs. 5, Antolka K. rs. 1, Jadwiga K. rs. 6, Julcio B. kop. 30, Helunia B. kop. 30, Juliusz Wertheim rs. 25, Henrykowa Natanson rs. 25, Piotr Wertheim rs. 6, Andrzej Wolff rs. 6.

Oprócz tego bracia Ginsberg w Zawierciu ofiarowali cztery sztuki perkalu.

We wszystkich księgarniach znajduje się do nabycia dzieło pod tytułem:

ROZRYWKI

DLA MŁODOCIANEGO WIEKU

obejmujące:

Powieści, poezye, podróże, literaturę i rozmaitości

przez

SEWERYNĘ PRUSZAKOWĄ

(DUCHIŃSKĄ)

w 4-ch tomach

Cena egzemplarza rs. 2, z przesyłką rs. 2 kop. 50

W oprawie rs. 3, z przesyłką rs. 3 kop. 50.

Skład główny u M. Glücksberga
Wydawcy „Bluszczu“.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 4-ty powieści pod tytułem: *Opuszczona*, przez Ms G. W. Godfrey.

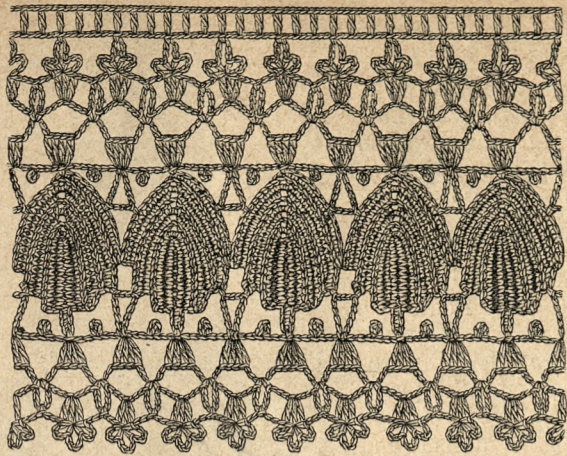
TREŚĆ. Pogawędka. — Czeczotka, Powieść z dawnych czasów, (dalszy ciąg), przez P. J. Bykowskiego. — Śmierć i pogrzeb Wiktora Hugo, (do-kończenie), Nekrolog. — Praca kobieca na wystawie, (dalszy ciąg), przez Maryą Ilnicką. — Listy z Magdeburga XIII, J. I. Kraszewskiego. — Warunki życia we wszechświecie, (dalszy ciąg), przez W. Niewiadomskiego. — Drobne listki. — Ofiary na kolonie letnie.

Dodatek obejmuje: Arkusz 4-ty powieści pod tytułem: *Opuszczona*, przez Ms G. W. Godfrey. — 23 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — *Sekreta gospodarskie*. — *Dyspozycyą stołu*.

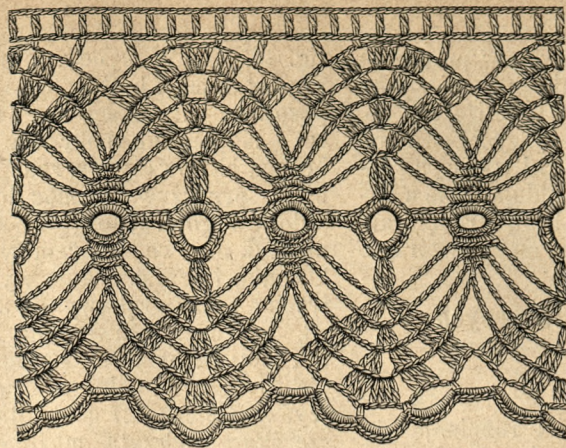
Koronka szydełkową rob.

Rycina Nr 1.

Koronka z cienkich kremowych nici, składa się z listków robionych w prążki, każdy osobno i połączonych kilkoma kolejami podłużnie robionymi. Listek robi się na założeniu z 13 pow. ocz., najbliższe ocz. opuścić, 11 ścis. ocz. w 11 następne o. założenia, 3 ścis. ocz. w następne ocz. założenia, 9 ścis. ocz. z drugiej strony 9 ocz. założenia; * robotę odwrócić, 1 ocz. pow., 10 ocz. ścis. w najbli. 10 ścis. ocz., 3 ścis. ocz. w nast. ocz., 9 ścis. o. w następn. 9 ocz.; od * 4 razy powtórzyć, potem robotę odwrócić, 1 pow. ocz., 11 ścis. ocz. w następne 11 ocz.; na tem się kończy listek, a wszystkie robią się na wzór jego, łącząc tylko w odpowiednim miejscu każdy nowy listek z następnym. U dołu listków robi się podłużnie kolej 1: * 1 ścis. ocz. o środkowy ząbek listka, 3 pow. ocz., 1 pikot cofając się w tył (to jest: 5 pow. ocz. i 1 ścis. oczko w pierwsze z nich) 8 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w drugi ząbek tegoż listka, 3 pow. o.; 1 ścis. o. w ząbek następnej figury, 5 pow. ocz., zaczepiając trzecią z 8 ocz. poprzednio zrobionych, 3 pow. ocz., 1 pikot, 3 pow. o., od * powtórzyć. Kolej 2: * 4 słupki o najbliższe ścisłe ocz. poprzedniej kolei, 6 pow. o., 4 słup. o następn. ocz., 4 słup. 6 pow. o., od * powtórzyć. Kolej 3 ciągle naprzemian: 2 ścis. ocz. przedzielone 7 pow. ocz. o najbliższe 6 o. pow. poprzedniej kolei, 7 pow. ocz. Kolej 4: * 1 ocz. ścisłe o 7 ocz. pow. poprzedniej kolei, 2 pow. oczka, 2 słup. w środkowe z 7 pow. ocz., 5 ocz. pow., 3 ścis. ocz. przedzielone 5 pow. ocz., w ostatni słupek; ostatniego oczka nie zaciągać, lecz zrobić 1 słu. w to samo oczko, w które były zrobione ostatnie 2 słup. i dopiero wtedy ostatnią pętelkę przerobić razem z oczkiem, 2 pow. ocz., od * powtórzyć. Z drugiej strony roboty kolej 5 do 8, jak 1 do 4. Kolej 9 ciągle naprzemian: 1 o. ścis. o 5 ocz. formujących ząbków, 8 o. pow. Kolej 10 ciągle naprzemian: 1 słup. w najbliższe ocz. poprzedniej kolei, 2 ocz. pow., 2 ocz. opuścić i t. d.



Nr 1. Koronka robotą szydełkową.



Nr 2. Koronka szydełkową robotą.

tnich zrobić kółko, 9 o. ścis. w najbli. 5 o. kółka, od * powtórzyć. Kolej 2: * 7 ścis. o. w 7 środkowych z 9 ścis. o. 11 pow. ocz., 3 słu. podw. ściągnięte w środ. nast. 9 o. 11 o. pow., od * powtórzyć. Kolej 3: 5 ścis. o. w środkowe 5 z 7 następnych ścis. ocz. poprzed. kolei, 9 ocz. pow., 3 słupki w ostatnie z 11 ocz., 3 pow. ocz., 3 słu. w pierwsze z następnych 11 ocz., 9 pow. ocz., od * powtarzać. Kolej 4: * 3 ocz. ścis. w środkowe z 5 ścis. ocz. poprzedniej kolei, 8 pow. ocz., 3 słupki w następne 3 słup., 3 pow. ocz., 3 słu. w środkowe z 3 pow. ocz., 3 pow. ocz., 3 słu. w 3 następne słup., 8 ocz. pow., od * powtórzyć. Kolej 5: * 1 ocz. ścis. o 3 ocz. pow., 7 pow. ocz., 3 słup., 3 pow. ocz., 3 słu. w pierwszy słu. 3 pow. ocz., 3 słu. w drugi słu., 3 pow. ocz., 3 słu. w trzeci słu., 7 o. pow., od * powtórzyć. Kolej 6: * 2 razy naprzemian: 3 słu. w 3 najbli. o. i 3 o. pow., potem 4 słu. 2 razy naprzemian: 3 pow. ocz. i 3 słu. w 3 najbli. oczka, od * powtórzyć. Kolej 7: * 1 ocz. o następn. 3 oczka, 3 razy naprzemian: 7 pow. o., 1 ścis. o. o najbli. 3 pow. o., potem 4 pow. o., od * powtarzać. Kolej 8: * 3 razy naprzemian: 10 ścis. ocz. o następn. 7 ocz. pow., 6 pow. o. o następn. 4 ocz. pow., od * powtarzać. Kolej 9 z drugiej strony roboty: 9 ścis. ocz. w kółko zrobione z 12 ocz. pierwszej kolei, 5 ścis. ocz. o następn. 5 pow. ocz. Kolej 10 do 14: jak 2 do 6. Kolej 15: * 1 słu. o najbliższe 3 ocz. pierwszej figury poprzedniej kolei, 5 ocz. pow., 2 razy naprzemian: 1 ścis. ocz. o następn. 3 ocz. pow., 5 pow. ocz., potem 1 słu. o najbliższe 3 pow. ocz., 5 pow. ocz. od * powtórzyć. Kolej 16 ciągle naprzemian: 1 słup., 2 pow. ocz., 2 ocz. opuścić.

Haft na taburet przed fortepian.

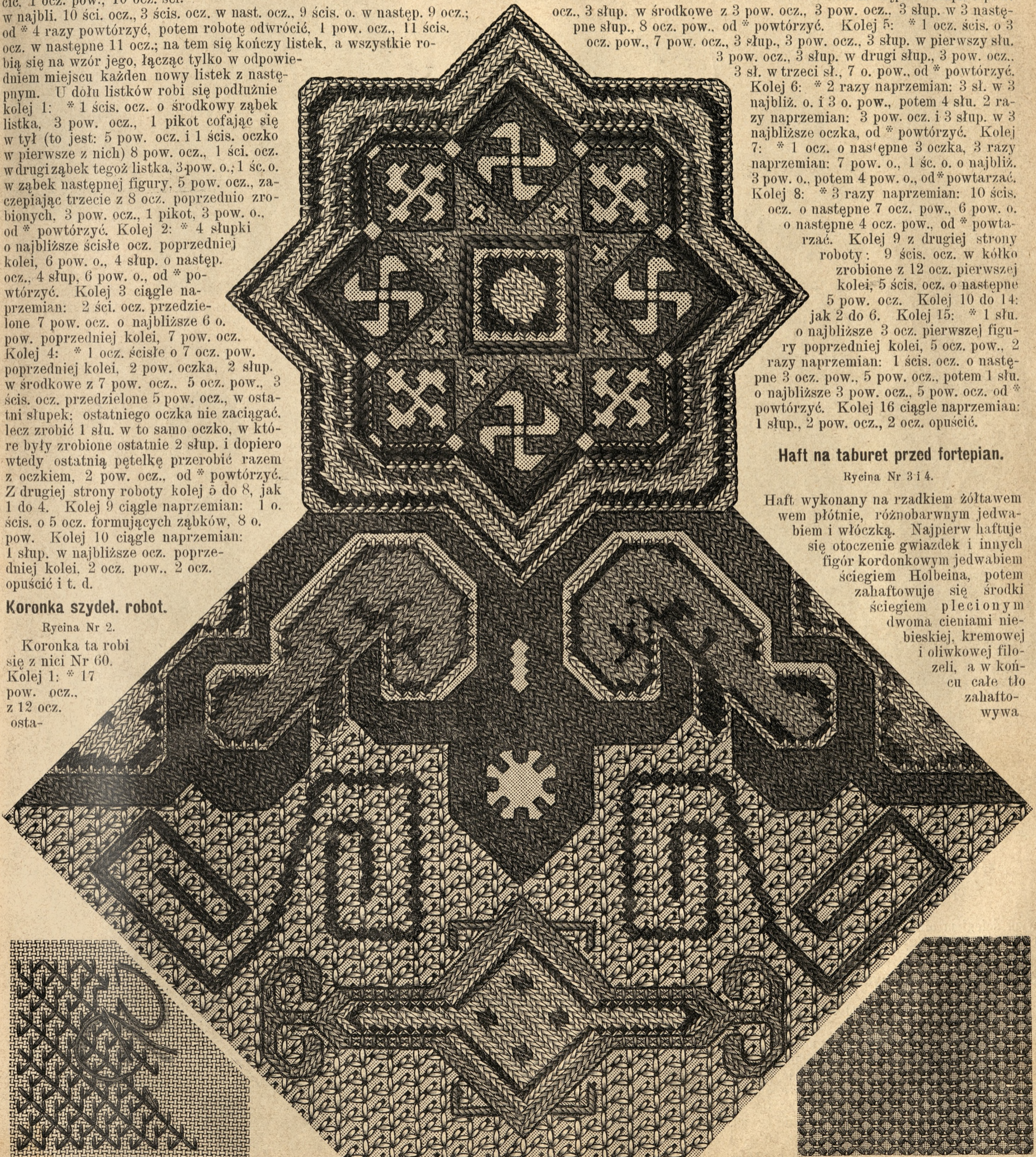
Rycina Nr 3 i 4.

Haft wykonany na rzadkiem żółtawem wem płótnie, różnobarwnym jedwabiem i włóczką. Najpierw haftuje się otoczenie gwiazdek i innych figór kordonkowym jedwabiem ścięciem Holbeina, potem zahaftowuje się środki ścięciem plecionym dwoma cieniami niebieskiej, kremowej i oliwkowej filozeli, a w końcu całe tło zahaftowuje wywa.

Koronka szydeł. robot.

Rycina Nr 2.

Koronka ta robi się z nici Nr 60. Kolej 1: * 17 pow. ocz., z 12 ocz. osta-



Nr 4. Sposób zahaftowania tła do ryc. 4.

Nr 3. Haft na taburet pocztowym i Holbeina ścięciem. (Do ryc. 4).

Nr 5. Zahaftowanie figur deseniowych.

się kremowym jedwabiem podług ryc. 4. Rzędy haftu idą w lewo i napowrót, * przeciąga się igłą o 3 nitki w górę, w ukośnym kierunku na prawo, potem na dół pod 3 najbliższymi nitkami, zabrać 3 znajdujące się wyżej poziome nitki, przeciągnąć nitkę o 3 nitki w górę na lewo, zebrać 3 nitki poziome znajdujące się u góry, dalej przeciągnąć igłą na lewą stronę 6 nitek do góry i 3 nitki szerokości, od * powtórzyć.

Zahaftowanie figur deseniowych.

Rycina Nr 8.

Na płótnie średniej grubości rozpinają się ukośnie nitki pasowego jedwabiu, w odstępie 4 nitek płótna, następnie miejsca krzyżujące się, przymocowują do płótna jednym krzyżo-

na kropkę, przyfastrzygować ją do podszewki fig. 42, zeszyć przody, plecy i boczki i przybrać staniczek haftem, ścięciem gałązkowym, pasowym jedwabiem; fig. 43 podaje wzór haftu. Napiersnik pokrywa się ufałdowanym beżem, haftowanym w rzucik pasowym jedwabiem, przyszywa na moc do prawego przodu, a do lewego przypina za pomocą haftek; kołnierzyk oszywa się kremową, 3 cent. szeroką koronką i przyszywa do wykroju szyi. Dalej trzeba zeszyć rękawy od 30 do 31 i od 32 do 33, przybrać ranwersami i wszyc w stanik tak, aby liczby 33 na siebie trafiły; w odstępie 13 cent. od dolnego brzegu stanika przyszyć spodniczkę 27 cent. długą, a 242 centim. szeroką, podszytą muslinem i uplisowaną w szerokie fałdy.



Nr 9. Sukienka dla dziecka od 1 do 2 lat. Opis pierw. str. tabl.

Nr 10.

Suknia z perkalu ze szlakiem. (Do ryc. 9 w Blu. Nr 26).

Nr 11.

wym ścięciem oliwkowego jedwabiu na czterech nitkach tkaniny.

Sukienka dla dziewczynki od 5 do 7 lat.

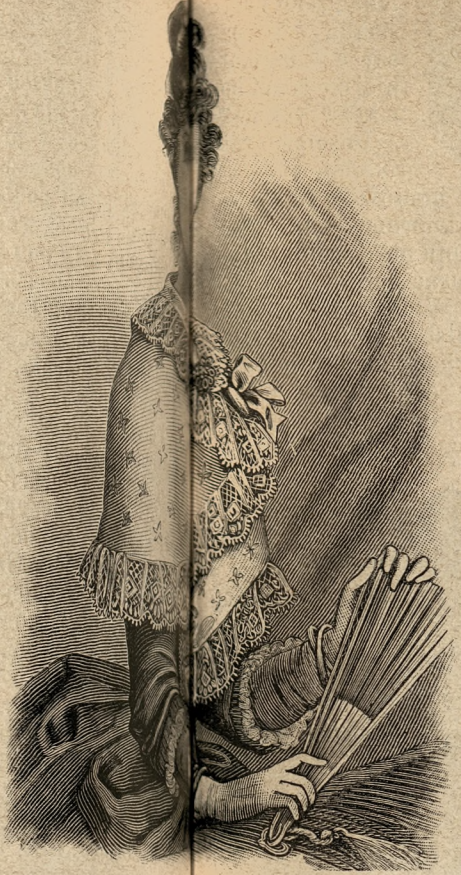
Rycina Nr 8. Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 40-48.

Na sukienkę z jasnego beżu, ukroić z podszewki, podług fig. 40 i 42 po jednej części, z beżu podług fig. 43 także jedną część, podług fig. 41, 45 i 46 po dwie części, z pasowego atlasu podług fig. 44 kołnierzyk, a podług fig. 47 ranwersy, następnie podłożyć wszystkie części, wyjąwszy fig. 40, 42 i 43, podszewką, ułożyć fig. 43 w fałdy, zamocowując kaźden krzyżyk

Spódnica tej sukni zrobiona z pasowego katonu, pokryta wysokim uplisowanym wolantem z niebieskiego perkalu w deseń; wolant zakończony kolorowym, 10 cent. szerokim szlakiem. Takimże szlakiem przybrana, udrapowana podług ryciny tiunika i staniczek z uplisowaną kamizelką; luźne, otwierające się przody stanika, podszyte u góry szlakiem i odwinięte na wierzch. Kołnierzyk i kamizelecza pokryte gładkim, kolorowo haftowanym perkałem. Rycina Nr 10 przedstawia suknię tegoż sa-



Nr 7. Ubranie dla panienci od 8 do 10 lat. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 14-27.



Nr 6. Fason de-chine i koronki (str. tabl.)



Nr 8. Sukienka dla dziewczynki od 5 do 7 lat. Krój i wzór odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 40-48.



Nr 14. Suknia z wełnianego materiału. Opis pierw. str. tabl.

Nr 15. Suknia z wełnianego materiału. Opis pierw. str. tabl.

Nr 16. Suknia kaszmiru i jedwabnej materji w deseń. Opis pierw. str. tabl.

M O D Y

R Y Z Y K I E.

Poduszeczka aromatyczna.

Rycina Nr 17 i 18

Na pokrycie tej poduszeczki, napelnionej uperfumowanemi otrębami, potrzebny jest 17 cent. duży kwadratowy kawałek wełnianego materiału w jasnym kolorze, na który przenosi się deseń (rycina 17 przedstawia połowę jego) i haftuje się kremową filozelą, ścięciem łańcuskowym, langietkowym, supelkowym i rybiej łuszczy, a potem kaźdą figurę deseni otacza się haftem gałązkowym, kordonkiem koloru palonej cegły. Po wykończeniu haftu przyfastrzygowywa się go na poduszeczkę, drugą stronę pokrywa atlasem odpowiedniego koloru; atlas powinien zachodzić na haftowaną stronę 2 cent. szeroko, a przyszycie pokry-

wym, langietkowym, supelkowym i pocztowym. W środku krzyża litery haftują się brązowym jedwabiem ścięciem langietkowym, znajdujący się nad niemi krzyż ścięciem gałązkowym, ozdabia się ścięciami supelkowemi i pocztowemi, zielonym jedwabiem, gwiazdka u spodu liter, ścięciem pocztowym zielonym jedwabiem w dwóch cieniach. Duże koła haftują się ścięciem płaskim jedwabiem oliwkowym, małe figurki znajdujące się pomiędzy niemi, dwoma cieniami palonej cegły, ścięciem pocztowym; ząbki ciemniejszym cieniem tegoż koloru, promienie także kolorem palonej cegły w wielu odcieniach. Otoczenie figur robi się ciemno-brązowym kolorem, ścięciem płaskim, małe kwiaty zielonym, brązowym i jasno-zółtym. Kwiaty zdobiące ramiona krzyża haftują się niebiesko (patrz ryc. 21), liście kolorem palo-



Nr 12. Fartuszek. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 38 i 39.

Nr 13. Suknia domowa z zefiru. Przód. (Do ryc. 10 w Blu. Nr 26).

wa się jedwabnym sznurkiem koloru palonej cegły.

O r n a t.

Rycina Nr 19 do 21. Deseń pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 28.

Ornat zrobiony z grubego jedwabnego adamaszku, podszyty gładką materyą i przybrany haftem, który na plecach formuje krzyż, a z przodu pas prosty. Brzeg ornatu objęty złotą plecionką. Haft robi się na tkaninie umyślnie na to przeznaczoną, w atlasowy deseń na prążkowanym tle, różnokolorową rozpolioną filozelą, ścięciem płaskim, gałązko-

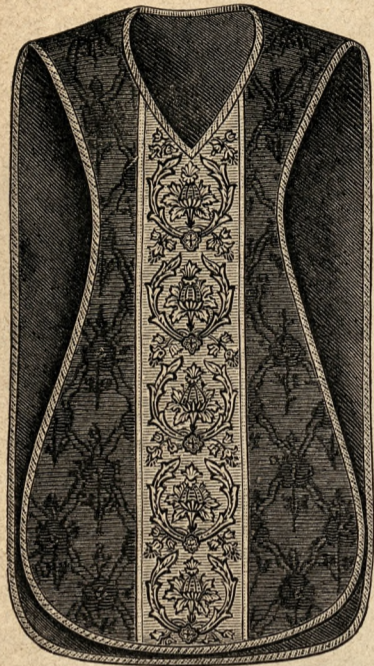
nej cegły; żyłki oliwkowym. Kwiaty zaś głównego słupa naprzemian: oliwkowo i niebiesko. liście brązowo w wielu odcieniach. Liście otaczające kwiaty robią się płaskim haftem; korzonek otoczony ścięciem gałązkowym, a zapelniony kratką, kwiaty mniejsze kolorem palonej cegły, oliwkowym i niebieskim; pozostałe zaś figury kolorem niebieskim i brązowym w wielu odcieniach, ścięciem płaskim, supelkowym i pocztowym. W podobny sposób haftuje się przedni pas na ornat. Haft może być wykonany nie tylko na adamaszku, lecz także i na gładkim jedwabnym materiale, trzeba tylko przenieść na niego deseń fig. 28.

Przepisy gospodarskie.

Ogólne wska- zówki co do uży- cia raków.

Raki są najlepsze i w naj-
większej obfitości w Maju,
Czerwcu i Lipcu. W początkach
Maja mają jeszcze pełno jajek, któ-
rych nie należy używać przy tłuczeniu
na zupę. Raki czarne są lepsze od zie-
lonych; usniętych nie należy wcale używać;

przy płóka-
niu zwykle ku-
charki boją się,
aby rak je nie usz-
czytnął, otóż płócąc
raki w bardzo obfitej
wodzie i biorąc je
z wierzchu rękami
szybko, nigdy to miej-
sca mieć nie będzie —
wypłókane oczyszcza
się z kiszki odchodo-
wej, biorąc w rękę
i schwytawszy za dwa
środkowe piórka przy
szyjce niewłaściwie
zwanej, zakręciwszy
je zręcznie, wyciąga
się cała kiszka odcho-
dowa, czyli widoczna
w owej szyjce czarna
żyłka, która niczem
innem nie jest, tylko
kiszka odchodowa,
a która nie wyjęta,
sprawia nie miłe wra-
żenie, wyjmując ją zaś

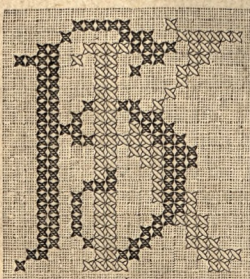


Nr 19. Ornat. Prząd. (Do ryc. 20 i 21)
Wzór pierw. str. tabl. Nr VI. fig. 28.

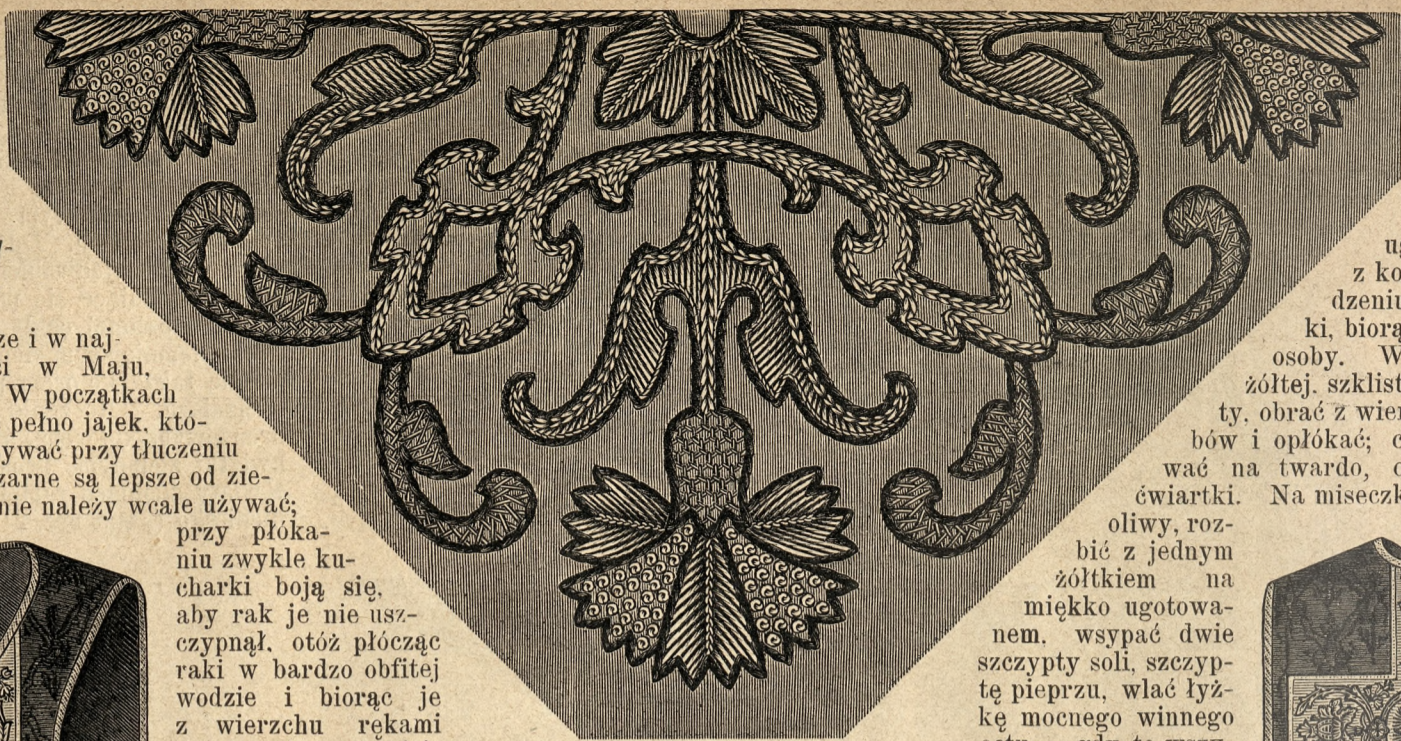
po ugotowaniu, jak
to wiele kucharek
czyni, urywa się
często, a szyjka
rozpada na dwie
połowy. Po wyję-
ciu więc kiszki, soli
się raki obficie, po-
trzasać miską,
w której leżą, a po
pół godzinie naj-
wczesniej, odław-
szy uformowaną
z soli wodę, gotuje
się w wodzie — je-
żeli na zupę, lub
na zimno mają być
jedzone, — a dusi
w maśle i śmiet-
anie, jeżeli na po-
trawę mają być po-
dane.

Salata z raków.

We Francji ja-
dają salate z ho-
marów, bo tam nie
mają naszych ra-
ków, lecz ogromne
morskie zwane „ho-
marami“, które
krają na kawalki;
dlaczegożbyśmy nie



Nr 22. Znak do bielizny.



Nr 17. Połowa wzoru na haft do poduszki
ryc. 18.



Nr 18. Poduszka aromatyczna gałazkowym, su-
pełkowym, łańcuszkowym i langietkowym ście-
giem. (Do ryc. 17).

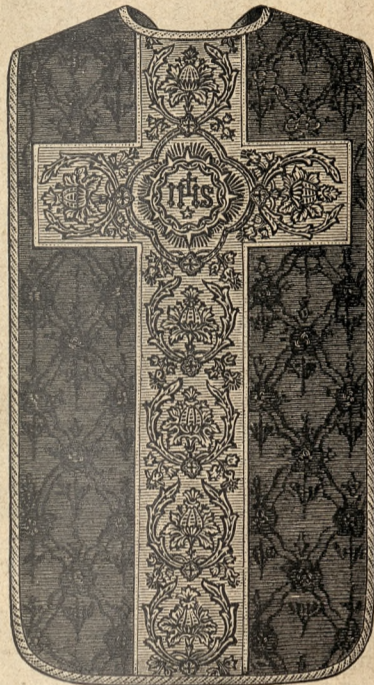


Nr 21. Część haftu od ornatu ryc. 19 i 21.

mieli również
jadać tego przy-
smaku z na-
szych, delikat-
niejszych od ho-
marów raków?

Posolone raki
średniej wielkości
ugotować w wodzie
z koprem — po wystu-
dzeniu obrać szyjki i łap-
ki, biorąc pół kopy na trzy
osoby. Wziąć dwie główki
zółtej, szklistej, najlepszej sala-
ty, obrać z wierzchnich liści i głą-
bów i oplókać; cztery jajka ugoto-
wać na twardo, obrać pokrajać na
ćwiartki. Na miseczkę wlać dwie łyżki

oliwy, roz-
bić z jednym
zółtkiem na
miętko ugotowa-
nem, wsypać dwie
szczypty soli, szczyptę
pieprzu, wlać łyżkę
mocnego winnego
octu — gdy to wszy-
stko dobrze wymię-
szane, włożyć salate
i raki, lekko już tyl-
ko z tą zaprawą wy-
mieszać, ułożyć na
salaterkę, ubrać ja-
jami, posypać koprem
siekanym i podać po
zupie, zamiast majone-
zu. Taksamo zupeł-
nie urządzić można,
biorąc zamiast oliwy,
trzy łyżki kwaśnej
śmietany, a zamiast
kopru siekany szczy-
pierek. We Francji
i we Włoszech jada-
ją tylko z oliwą.



Nr 20. Ornat. Plecy. (Do ryc. 19 i 21).

U nas jadać można,
o ile się moje za-
stosowanie przy-
jmie, równie dobrze
ze śmietaną, jak
z oliwą.

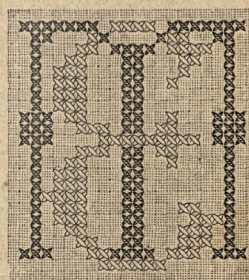
L. C.

Obiad na Niedzielę

1. Zupa „Julienne“ z jarzynkami.
2. Sztukamięsa biała z salata.
3. Pasztet z raków.
4. Cąber barani ze śmietaną.
5. Krem poziomkowy, lub poziomki z cukrem.

UWAGA.

Do dzisiejszego
numera dołączona
Tablica krojów,
służy też do Nr 46.



Nr 23. Znak do bielizny.